Nr. 269. Lwów — Piątek dnia 24 Listopada. **Rok 1893.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami.
Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
za tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś:	św. Jana od Krz.	Joanna Mył.	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 7 m. 27	Długość dnia g. 8 m. 41
Jutro:	św. Katarzyny	Joanna Złot.			Zachód „ „ 4 „ 8	Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 23 listopada.

Dziś zaczynają się posiedzenia Rady państwa, przed którą po raz pierwszy w Austryi stanie koalicyjny gabinet, wytworzony przez trzy stronnictwa umiarkowane, dążące do oględnego rozwoju stosunków. Po stronie opozycyi uszykowały się zastępy, które w gwałtownych zabiegach o swe partyjne cele zupełnie straciły z oczu dobro państwa, jako całości. Nic dodatniego nie łączy tych zastępów, są one solidarne tylko w negacyi wszelkiego umiarkowania i tego gruntu, na którym wznosi się dzisiejsza prawno-polityczna budowla krajów przedlitawskich. Młodoczesi pragną wyodrębnienia tak zwanych „krajów korony św. Wacława", aby tam łatwiej mogli pokonać i strawić Niemców. Wbrew przeciwne cele ścigają nur-deutschowie, którzyby chcieli usunąć Galicyę i Bukowinę ze związku krajów przedlitawskich, aby w ten sposób żywioł niemiecki miał w Radzie państwa zawsze olbrzymią przewagę i mógł zarówno w Czechach, na Morawie, na Szląsku, jak w Karyntyi i Krainie zdusić żywioł słowiański. Z tego wynika, że nur-deutschowie i młodoczesi są sobie największymi wrogami i tylko przez wspólną niechęć do istniejącego stanu łączą się w opozycyi. Obok nich stoją antysemici, którym obce są i młodoczeskie i nur-deutschowskie tendencye, a do opozycyi skłania ich tylko dążność do zmiany konstytucyi w duchu niekorzystnym dla zasady politycznego równouprawnienia wyznań. Prócz tego do programu ich należy coś z doktryny socyalistycznej. Być może, iż młodoczesi, jako radykaliści, przystaliby na niejeden punkt programu antysemitów, ale właśnie te punkta odrzuciliby bezwzględnie nur-deutschowie. Opozycya tedy składa się z obozów luźnych i wręcz sobie przeciwnych, spojonych tylko negacyą tego, co jest, i brakiem idei państwowej, a zatem, gdyby nawet była liczniejsza, nie byłaby straszna dla koalicyi i jej gabinetu. Niebezpieczeństwo dla tej koalicyi i dla tego jej gabinetu istnieje tylko w niej samej i w nim. Wszelka jednostronność, wszelka przewaga którego kolwiek czynnika koalicyjnego, jakakolwiek dążność germanizacyjna, czy słowianizująca byłaby dlań zgubą. Powstała myśl utworzenia klubu słowiańskiego, do którego weszliby zarówno staroczesi z Czech i Morawy, jak i różni Słowianie z klubu Hohenwarta. Obawa przed gabinetem, do którego wchodzą członkowie liberalnej, centralistycznej lewicy, podyktowała tę myśl, której jednak na razie nie wykonano; zarówno słowiańscy członkowie klubu Hohenwarta, jak staroczesi postanowili wstrzymać tę nową formacyę i zaczekać na czyny rządowe. Widoczne jest z tego, czego się należy wystrzegać. Staroczeski „Narodni Klub" na Morawie, południowo-słowiańskie stowarzyszenia i dzienniki, wreszcie *Cons. Correspondenz*, — wszystkie zgodnie oświadczyły, że do opozycyi na razie nie przejdą i klubu Hohenwarta nie będą rozbijały, zanim nie otrzymają dowodu, że pod względem narodowościowym i wyznaniowym gabinet Windischgrätza gorszy jest dla nich od gabinetu Taaffego. Dodały do tego stronnictwa południowo-słowiańskie, że czyny ministeryum oświaty i wyznań będą dla nich główną miarą postępowania. Naprożno byłoby ukrywać przed sobą, że wraz z rozbiciem się klubu Hohenwarta nastałyby dla koalicyi i jej gabinetu bardzo ciężkie czasy. Trzeba tego uniknąć, a łatwe to jest, nie naruszając w niczem zasadniczych kwestyi wyznaniowych i narodowych; niech one, zostawione w spokoju, same się utemperują i ułożą w życiu, a tymczasem, pracując wspólnie nad ważnemi zagadnieniami bieżącej chwili, niech się koalicya wżyje, ugruntuje, niech oswoi z sobą przyjaciół swych i przeciwników i wszystkich zatrwożonych.

Niedzielny orkan, który o kraj nasz zawadził tylko dość silnym wichrem, stał się na zachodzie, wzdłuż morskich wybrzeży, przyczyną wielkich strat i nieszczęść. Już w piątek rozszalała się burza na północnym Atlantyku, a była tak niezwykła, że gromada wysp Hebrydzkich, leżących na północny zachód od Szkocyi, była literalnie zalana falami, które nakształt wysokich wałów wpadały na płaski ląd i rozlewały się po nim aż do przeciwnych brzegów wysepek. Ubodzy rybacy, nieliczni mieszkańcy tamtejsi, ledwo z życiem uciekli na pagórki, wznoszące się w środku tych wysepek, zaś chaty ich, statki i wszelki dobytek pochłonęło morze, które w miarę, jak się burza posuwała ku południowi, szalało coraz straszliwiej i wzdęło się o dwa metry nad zwykły swój poziom. W skutek tego górskie, a więc wartkie rzeki szkockie, wezbrały i rozlały się na sąsiednie pola. Powódź ta nastąpiła tak prędko i niespodzianie, że nadbrzeżni mieszkańcy, zanim mogli pomyśleć o ratunku, już stali się ofiarą klęski. Na szczęście jest ich nie wiele, bo w tych stronach, z powodu częstych wylewów, ludzie mieszkają na dość wysokich tarasach. Zapisano tylko ruinę kilku osad rybackich i rozbicie się wielu statków, między którymi znajduje się pocztowy parowiec z dwiestu pasażerami. Bez śladu przepadło kilka okrętów, które na krótko przed burzą wypłynęły z Liverpoolu do Marsylii.

Orkan szalał przez całą sobotę i niedzielę, posuwając się ku wschodowi. W sobotę najsilniejszym był na atlantyckiem wybrzeżu Francyi i Irlandyi, popsuł wojenny port w Cherbourgu, z którego porwał i uniósł na otwarty ocean kilka kupieckich okrętów, między niemi dwa duże angielskie i jeden niemiecki z Hamburga. Już ich odtąd nie widziano, jak i bardzo wielu parowców, kursujących zwykle wzdłuż brzegów. Telegram paryski krótko głosi: „wiele okrętów z ich załogami poszło na dno morskie". Ku wieczorowi w sobotę burza wdarła się w kanał La-Manche; tu morze tak się podniosło, że gdzie są płaskie brzegi, woda je zalała na szerokość 200-tu metrów i zniszczyła wszystkie obwałowania i przystanie rybackie. W mieście Calais orkan pochłonął zachodnią dzielnicę i z powierzchni ziemi zmiótł bez śladu latarnię morską, z portu zaś porwał jedenaście okrętów. Żegluga po kanale La Manche jest nadzwyczaj ożywiona; tysiące statków wszelkiego rodzaju uwijają się między angielskim a francuskim brzegiem, oraz między licznemi wyspami. Ile tam podczas orkanu zginęło okrętów, jeszcze nie wiadomo. Relacye urzędów portowych francuskich i angielskich brzmią jednakowo, a bardzo wymownie: po długim opisie nazw statków, które awizowały swoje przybycie do pewnego portu, urząd tego portu dodaje lakonicznie: „nie ma o nich wiadomości".

Belgia i Holandya, kraje płaskie, ucierpiały od orkanu nietylko wzdłuż morskich brzegów, lecz i daleko w głąb lądu. Na rzekach i na kanałach spławnych statki rzucane były falami jak łupiny orzechów, uderzały o siebie i rozbijały się. Szluzy na rzekach i kanałach, wały ochronne od strony morza i kamienne groble, do których przystają okręty, są wszędzie zniszczone. Straty obliczają w przybliżeniu na kilkadziesiąt milionów guldenów holenderskich. Najwięcej zaś ludzi zginęło od razu na Szeldzie, gdzie parowiec angielski wpadł na belgijski okręt i przebił go na wylot, przyczem sam pękł — i oba te statki poszły na dno.

Czem dalej na wschód, tem słabszy był orkan. Na Bałtyku szalał w niedzielę, duńskim rybakom wiele zaszkodził i zepsuł most kolejowy, łączący dwie wyspy, a z niemieckimi brzegami obszedł się łagodnie. W Lubece tylko zalał portową część miasta, zniszczył magazyny i nagromadzone w nich towary uniósł na dno morskie, porwał druty telegraficzne i z domów pozrywał dachy. W Rosztok narobił szkód w porcie na kilkadziesiąt tysięcy marek, a w Warnemündzie zburzył i falami zmył nadbrzeżną aleję, zwaną „Bismarck-Promnade" — i to jest najmniejsza szkoda, jaką wyrządził ten orkan, niezwykły siłą, trwałością i tem, że tak wielki obszar ogarnął.

Zmiana statutu

krakowskiego Towarzystwa wzaj. ubezpieczeń.

Niebawem rozstrzygnięą ma być bardzo ważna dla kraju naszego sprawa, albowiem na walnem zgromadzeniu Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie — przyjdą pod obrady wnioski obywateli pokuckich, które jako sięgające głęboko w istotę Towarzystwa mogą zaciężyć nad tą najwybitniejszą u nas instytucyą ekonomiczną, mającą także niemałe zadanie społeczne. Wnioski wspomniane domagają się zupełnej zmiany tych paragrafów statutu, na podstawie których odbywały się dotychczas walne zgromadzenia Towarzystwa. Dotąd każdy członek ubezpieczający się w Towarzystwie na pewną oznaczoną sumę, inną w mieście a inną na wsi, mógł brać udział w obradach, wnioski pokuckie zaś, których najgorliwszym rzecznikiem jest hr. Stanisław Dzieduszycki, proponują aby członkowie Towarzystwa ubezpieczeń okręgami wybierali delegatów i aby tylko z tych składało się walne zgromadzenie. Towarzystwo krakowskie rozwinęło się tak pięknie, wrosło tak głęboko w społeczeństwo, działalność jego ma tak doniosłe dla kraju znaczenie, że w chwili, kiedy zanosi się na tak daleko idące reformy w łonie jego, *Przegląd* nie może milczeć i czuje się w obowiązku wystąpić przeciw tym reformom, uznając je otwarcie za niepotrzebne.

Próby reorganizacyi walnego zgromadzenia są w krakowskiem Towarzystwie nowością. Jeszcze w roku 1873, a więc równo przed dwudziestu laty, pojawił się wniosek zastąpienia zgromadzeń ogólnych zebraniami delegatów wybieranych po obwodach. Wniosek ten rozpatrywany był przez zgromadzenie odbyte w roku 1874. Dwa dni toczyła się nad nim dyskusya, wreszcie nieznaczna większość uchwaliła wybrać komisyę z 7 osób i jej przekazano ową ważną sprawę. Miała ona ją zbadać i przedłożyć swoje wnioski Radzie nadzorczej, która znowu obowiązaną była wnioski komisyjne rozpatrzeć i złożyć o nich sprawozdanie na następnem zwyczajnem zgromadzeniu ogólnem. Przewodniczył komisyi ś. p. Henryk Janko. Ukończyła ona prace w listopadzie r. 1874 i projekt swój przesłała Radzie nadzorczej.

Jednak wnioski te trafiły na stanowczy opór w łonie Rady nadzorczej a dziś kiedy podobna kwestya przyjść ma pod obrady, warto sobie przypomnieć niektóre motywa, jakie Radą kierowały, bo nie one dotąd na wartości nie straciły. Rada była tego przekonania, że zmiana ordynacyi walnego zgromadzenia pociągnęłaby za sobą cały szereg innych daleko idących reform, że nie wystarczy ustanowić ordynacyę wyborczą, przepisującą liczbę i sposób wybierania delegatów powiatowych na walne zebrania; że to nie koniec przekazać ten sam zakres działania zgromadzeniu delegatów, jaki przysługiwał na podstawie statutu ogólnemu zgromadzeniu członków Towarzystwa. Ta niewinna na pozór zmiana musi pociągnąć za sobą głębsze przeobrażenia w dalszych kołach zarządu Towarzystwa.

Zresztą pocóż ma urzędować tak liczna Rada nadzorcza, a obok niej druga powiększona jeszcze Rada nadzorcza, gdyż niczem innem nie byłoby zgromadzenie delegatów z dyetami i kosztami podróży. Po cóż te dwie instytucye obok siebie, w jednaki sposób wybierane? — mówiła Rada nadzorcza.

Kierując się takimi motywami poleciła komisyi wypracować ponownie i gruntownie projekt reformy, a ta ukończyła go w r. 1875. Zgromadzenie odbyte w tym roku odrzuciło go, mimo to nie zawadzi przypomnieć, że on także domagał się, aby walne zgromadzenia na przyszłość składały się nie z członków czynnych Towarzystwa, ale z delegatów w powiatach wybieranych, a co do Rady nadzorczej, projekt odbierał wszelki wpływ obwodom na jej wybór. Odtąd zgromadzenie delegatów miało wybierać Radę nadzorczą, a zakres jej działania miał być ograniczony.

Był to wniosek bardzo daleko idący i niejeden może zwolennik reformy przeraził się go, ale był on prostą konsekwencyą zasady, że walne zgromadzenie zmienione być powinno na obrady delegatów i dziś, jeśliby wnioski pokuckie przyjęte zostały, tak samo prędzej czy później by się wyłonił i to nie sam tylko, ale cośmy już wspomnieli jako początek długiego szeregu bardzo zasadniczych reform.

Pytanie więc teraz proste się nasuwa czy Towarzystwo krakowskie potrzebuje tych reform i czyby mu one na zdrowie wyszły? Francuskie przysłowie powiada, że lepsze jest wrogiem dobrego, co znaczy, że ze zbytnej gorliwości najlepszą rzecz można popsuć. Gdyby Towarzystwo się chwiało, gdyby w łonie jego uczuć się dawało jakieś niedomaganie, ha! wtedy kuracya byłaby wskazaną i dążenia do reformy byłyby usprawiedliwione. Ale widzimy, że instytucya ta jest pełna życia, że się znajduje w stanie rozkwitu, po cóż więc mieniać pewne na niepewne i dla nadziei tylko narażać pomyślny rozwój Towarzystwa, które na nieobliczalne straty mogłoby być narażone, gdyby następstwa reformy okazały się szkodliwe. Należy to przyjąć za zasadę, że: nie tyka się Towarzystw, które stoją silnie i pomyślnie się rozwijają.

Ale przyjrzyjmy się bliżej czy jest chociażby nadzieja, że wnioski pokuckie mogą być zbawienne. Już powyżej zaznaczyliśmy, że musiałyby one konsekwentnie doprowadzić do zachwiania Rady nadzorczej Towarzystwa. Wprawdzie zwolennicy reformy zastrzegają się przeciw temu jakoby chcieli jej władzę uszczuplać, ale któż z nich może zaręczyć, że zgromadzenie delegatów samo swych atrybucyi nie rozszerzy i że nie podniesie ręki na Radę nadzorczą?

A czem jest ona dla Towarzystwa, świadczy o tem jego rozwój, jej przedewszystkiem dzieło. Zrosła się ona razem z Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń, taką z niem tworzy całość, iż rozdzielenie lub jakiekolwiek zmiany mogłyby się najniekorzystniej odbić na instytucyi. Reprezentuje ona kraj cały, a że nie jest wybieraną przez zgromadzenie delegatów, nie jest też instytucyą jednostronną. Dzisiaj cały kraj ma w niej zastępców, rzeczywistych przedstawicieli obwodów; każdy z nich jest ich bezpośrednim organem, zaufanym kontrolorem czynności i zarządu instytucyi. Przez Radę nadzorczą bezpośrednio czuwają ubezpieczeni nad sprawami i rozwojem Towarzystwa. Nie jest ona wcale ciężkiem ciałem; liczy bowiem 26 członków, co zarówno pozwala na szybkie załatwienie spraw, jak najobszerniejsze starcie zdań i wymianę myśli. Komplet Rady zbiera się dwa razy do roku, a więc prawie bezustannie kontroluje ona działalność Towarzystwa i rozważa jego najżywotniejsze sprawy.

Oto jest obraz i sposób dotychczasowego, obfitego w owoce działania.

Tymczasem projekta pokuckie wyprowadzają na widownię ciężkie ciało, zebranie z 216 delegatów, wybieranych po 3 z każdego powiatu, Bóg wie pod jakiemi hasłami i na czyją inicyatywę. Ponieważ delegaci tacy najprawdopodobniej staliby się wyrazem antagonizmów, panujących wśród członków Towarzystwa, możemy sobie wyobrazić jaką areną sporów i bezowocnych dyskusyi byćby mogły ich zgromadzenia.

Nie małą także rolę w odrzuceniu wniosków pokuckich powinny grać względy praktyczne. Policzmy tylko, jakie samy wyniosłyby koszta podróży 216 delegatów i dyety ich, boć przecież niktby od nich nie miał prawa żądać, aby na własny koszt udawali się na zgromadzenie do Krakowa, skoroby tam przemawiać mieli nie w imieniu swojem, ale w imieniu ogółu członków Towarzystwa.

Ze stanowiska wreszcie członka, który obecnie ma prawo brania udziału w Walnem Zgromadzeniu, czemby była reorganizacya, podjęta w myśl wniosków pokuckich, jak nie ograniczeniem praw jego? Teraz jeśli jest przekonany mocno o jakiejś potrzebie, jeśli gorąco pragnie przeprowadzenia jakiegoś wniosku, może stanąć przed Walnem Zgromadzeniem, może tam bronić swoich projektów, może przekonywać, a nawet przekonać innych. Ale gdyby delegat miał być ową tubą, za pośrednictwem której dopiero mógłby członek Towarzystwa wyrazić swe opinie, musiałby się zdać zupełnie na jego łaskę i dobrą wolę. Naturalnym wynikiem byłaby oziębłość dla spraw Towarzystwa, jakaby wtedy wśród członków zapanowała. Bo taka już natura ludzka, że nie czujemy zapału dla rzeczy, z którą nie mamy styczności, dla sprawy, w której nie bierzemy udziału. A czyż to w interesie Towarzystwa tłumić zapał dla niego wśród członków?

Być może, że w ferworze reformatorskim twórcy wniosku pokuckiego nie rozważyli tych wszystkich ewentualności, wierząc w to silnie, że projekta ich tylko pożyteczne być mogą dla Towarzystwa, sądzimy jednak, że zanim staną do walki o swoje wnioski, wezmą raz jeszcze rzecz tę pod rozwagę i wątpić nie chcemy, że postąpią wreszcie tak, jak tego dobro Towarzystwa wymaga.

KORESPONDENCYE.

Warszawa 15 listopada.

Powraca do nas zima ze swemi chorobami, przykrościami, kłopotem z powodu wiecznego w Warszawie braku węgla i stosami brudnego śniegu po ulicach. Powraca sezon panowania teatru, a z nim zawitała do nas najbardziej „podziwiana", „najdoskonalsza" i „najcudowniejsza" przeszłoroczna nasza primadonna Mira Hellerówna. Nie potrzebuję zupełnie zapewniać, żeśmy ją przyjęli, jak się to mówi, z otwartemi rękoma, że wieńców, bukietów i kwiatów nie brakło, tem bardziej, że gorąco oklaskiwana primadonna zapowiada, iż tym razem tylko kilka razy widzieć się da na scenie. Pocieszamy się jednak, że ta groźba tylko groźbą pozostanie.

Dotychczas wystąpiła panna Hellerówna w „Aidzie" i w „Fauście". „Aidę" jej znamy już wyborne z zeszłego roku, rola Małgorzaty gethowsko-gunodowskiej była dla nas nowością. Występ w „Fauście" był śmiałem pokuszeniem się opanowania przez naszą znakomitą mezzo-sopranistkę także repertoaru sopranowego, ale skończyło się wielkiem niepowodzeniem.

W świecie teatralnym robią się już przygotowania dla odświeżenia repertoaru na sezon zimowy. Jedną z najbliższych nowości oryginalnych ma być „Jakób Warka", pięcioaktowy dramat Daniela Zglińskiego, nagrodzony na konkursie, z którego wyszły: „Flirt" i „Nauczycielka", dotychczas nie przedstawiony na warszawskiej scenie. Zainteresowanie się tą sztuką jest nie małe, raz dlatego, że ma być ona „sło-

---

0)

OŻENIONY.

Przez

CARMEN SYLVĘ.

(Ciąg dalszy).

8 września.

Brat zamieszkał tutaj z żoną i z dzieckiem; zabija moje jelenie; zaprosiłem mego przyjaciela, Hermana, żeby rozweselić trochę długą i ciężką rekonwalescencyę żony. Przesiaduje wraz ze mną przy szezlongu, na którym Nora musi leżeć, i opowiada nam zabawne przygody. Bratu nie zależy na tem, aby polował razem z nim, a Herman nie ma szczególnego upodobania do mojej bratowej, która jest nieco gminna i robi ze swego dziecka bożyszcze i tyrana.

Wysoka to niedelikatność narzucanie nam widoku dziecka w takich okolicznościach. Nie pozwalam już przynosić go żonie. Pierwszy raz bratowa posadziła jej malca nagle na kolana. Nora bawiła się z nim przez kilka chwil, potem padła zemdlona, a odzyskawszy przytomność, dostała ataku nerwowego. Rozgniewałem się gwałtownie na brata. Z takim samym skutkiem mogłem się rozgniewać na wodotrysk; zachował dobry humor i obojętność, jak gdyby to wszystko jego nie dotyczyło. Herman podzielał moje oburzenie, co mi przyniosło ulgę.

Drugi brat chce także przyjechać na polowanie; nędznik! Dziwię się, że po tych kłótniach, jakiesmy ze sobą mieli, śmie jeszcze pokazywać się tutaj.

16 września.

Dni wloką się leniwie. Nora nie powraca do sił. Rzecby można, że jest przytłoczona ciężarem, którego żadna moc ludzka zdjąć z niej nie zdoła. Wziąłem matkę na stronę i wybadałem ją, bom zastał po jej wizycie Norę wzburzoną, osłabioną i tonącą we łzach.

Matka długo nie chciała mi odpowiedzieć; ale męczyłem ją dopóty, dopóki mi się nie przyznała, że wyciągnęła swoje wnioski ze zdań, które się wymknęły Norze w gorączce i że chciała dowiedzieć się wszystkiego. Obawiam się, żem nie postąpił tak, jak powinien był postąpić syn względem matki. Drżała i płakała, zalana potokiem moich wyrzutów. Zapytała, czy nie mogę jej przebaczyć troskliwości serca macierzyńskiego. Odrzekłem:

— Nie.

Powiedziałem jej, że nie miała prawa skorzystać z nieprzytomnych wyznań mojej biednej żony; że powinna była o nich zapomnieć, a przedewszystkiem nigdy jej o nich nie wspominać.

— Nie rozumiem cię, — zawołałem. — Uczyłaś mnie taktu i dyskrecyi, a sama postępujesz w ten sposób! Jak mogłaś wyrządzić mi tę obelgę?

— Chcesz mnie pozbawić prawa czuwania nad tobą? Czyż nie jesteś moim synem?

— Pragnąłbym nim nie być. Bodajbym się był nigdy nie urodził! Smutny stworzyłaś mi los, dając mi życie!

Płakała; pozostałem surowy i niewzruszony. Gniew mój był taki gwałtowny, że mnie uniósł, jak huragan. Teraz jestem złamany, ostygły, wyczerpany. Gnębi mnie świadomość, że drżała przedemną kobieta, a ta kobieta jest moją matką! Ale dla czego postąpiła w ten sposób? Nie powinna była tak postąpić! Nora nie dowiedziałaby się nigdy, co mówiła w gorączce; teraz nie przestanie się dręczyć, co bynajmniej nie poprawi naszych stosunków. Moja żona ma tyle taktu, tak doskonale panuje nad swoją mową i swemi spojrzeniami! Czuje się niewątpliwie głęboko upokorzoną, że rzuciła tak na cztery wiatry naszą bolesną tajemnicę! Oczy jej z wyrazem zaniepokojenia spoglądają to na matkę, to na mnie; dostrzegła, że nie mówimy ze sobą i pobladła tak silnie, jak gdyby była bliską omdlenia. Ale nie zapytała o nic. Powróciły tylko bóle i osłabienie. Zaniosłem ją do łóżka, pocałowałem czoło jej i oczy; przyciągnęła moje ręce do ust i rozpłakała się gorzko.

— To nic, moje dziecko, — rzekłem. — Uspokójże się! To nic! Jesteś aniołem, nie możesz zrobić nic złego!

Nie przestawała całować moich rąk; łzy jej płynęły ciągle, pomimo, że usiłowała je powstrzymać. Jesteśmy oboje bardzo nieszczęśliwi, ale cierpienia nasze są tak różne, że nie możemy ich dzielić wzajemnie; dlatego też milczymy.

— Co za przykładne małżeństwo! — rzekła dzisiaj bratowa, gdy po obiedzie zebraliśmy się dokoła szezlongu Nory. — Nie kłóciliście się jeszcze?

— Nie, jeszcze nie, i nie zdarzy nam się to nigdy.

— Tak, podobna zgoda, to rzecz ciekawa. Możnaby was prosić o dawanie lekcyi. Gdy pomyślę o moich kłótniach z Edwardem! Mówi, że go doprowadzam do rozpaczy; odpowiadam, że mnie tyranizuje i gniewamy się na siebie śmiertelnie, a potem następują wzruszające przeprosiny. Ale u was to raj!

— Nie prawda?

Matka spuściła oczy; białe, drżące palce Nory zawiązywały i rozwiązywały chusteczkę do nosa. Brat mój Maks gwizdał z cicha, spoglądając to na mnie, to na Norę; Edward wybuchnął śmiechem.

— Tak, niemal rzucamy sobie o głowę naczynia; wyczerpaliśmy cały słownik wymysłów; za następnym razem już ręce będą w robocie; to będzie zabawne; ciekawym, kto kogo zbije?

— To wstyd, Edwardzie! — odezwała się matka.

Stanął za jej fotelem i otoczył ją ramieniem

— Będziemy bardzo grzeczni, — rzekł tym pieszczotliwym tonem, którym zawsze potrafił wymódz na niej wszystko, co chciał.

Teraz roześmiała się bratowa.

— Tak, przybiera pozory łagodnego jagnięcia; nikt nie może się gniewać na niego. Ale nie zasługuje na twoje przebaczenie, matko, to wielki hipokryta, nicpoń, rozrzutnik!

Mówiąc to wszystko, z jakąż czułością spoglądała na niego. Mój narwany brat przybierał względem niej minę zwycięzką, jakkolwiek tego samego dnia rano powiedział mi, że jeżeli mu nie dopomogę, palnie sobie w łeb, bo nie ma już innego punktu wyjścia.

— Zabierz mnie ztąd, — prosiła mnie z cicha Nora wieczorem.

— Zabiorę cię z pewnością. Nie możesz tu już wytrzymać, biedne dziecko! Dokąd pojedziemy?

— Wszystko jedno, byle tam, gdzie ciepło i cicho.

Usta jej drżały. Ta mężna istota stała się słabą, jak dziecko. Dokoła mnie panuje spokój. Nie będę spał tej nocy. To nie pierwsza, jaką spędzam wyciągnięty na skórze niedźwiedziej, przed kominkiem, na którym podtrzymuję miły ogień. Dobrze tak leżeć na ziemi, byle tylko ciemność nie zapadła; noc i łóżko, to wrogowie nieszczęśliwych. Lepiej mi w pracowni w otoczeniu dowodów mojej dawnej działalności, mojej pogodnej siły twórczej. Jakkolwiek jest dziś obezwładniona i prawie wygasła, nie chciałbym zapomnieć, że istniała; ten dziennik to dla mnie rodzaj pociechy. Pióro moje jest przynajmniej czynne, jeżeli już nie wtóruje pracy umysłowej. Chodzę z jednego pokoju do drugiego; na grubym kobiercu odgłos moich kroków nie może mi przeszkadzać. Łamię sobie głowę nad wynalezieniem sposobu, któryby ustanowił między nami to, co nazywają szczęściem małżeńskiem. Trzebaby wiedzieć, na czem ono polega. To zagadka sfinksa, której nikt nie może rozstrzygnąć, a która wszystkich o śmierć przyprawia.

Moja córka umarła, zanim przyszło jej zmierzyć się z tem strasznem zagadnieniem; tem lepiej. A ja chcę się zabić, bo ona umarła?

Byłbym ją ochraniał, bronił od wszelkiego złego całą siłą ojcowskiego przywiązania. Tak, jak moja matka, której czułość zmarnowała mi życie i która teraz, ilekroć się wmięsza, unieszczęśliwia mnie coraz więcej!

27 września.

Zaczynam odnajdywać pewien urok w moich nocach samotnych. To odpoczynek po nieznośnem naprężeniu nerwów w ciągu dnia i nawet, gdy nie śpię, doznaję niejakiej ulgi.

Nora miała lekką recydywę. Śród cierpień błagała mnie, bym nie żywił żalu do matki.

— Pomyśl, że mogłaby umrzeć jutro nie pogodzona z tobą... A potem wyjedziemy, nie prawda?

Gdy matka weszła, zbliżyłem się do niej, powiedziałem jej dzień dobry i pocałowałem ją w rękę. Ale nie miała dla mnie ani jednego czułego spojrzenia; zachowuje je dla brata. W obejściu z Norą była taka chłodna, jak gdyby uważała jej recydywę za czyn występny. Jesteśmy oboje w niełasce.

— Przychodzę tylko dlatego, że to mój obowiązek i przez wzgląd na służbę, — rzekła lodowatym tonem.

Byłoby lepiej, żeby zaniedbała tego obowiązku; obecność jej zawsze rozdrażnia Norę

wkiem", a raczej przykładem, w kwestyi dyskutowanego u nas dość obszernie ibsenizmu na scenie, a powtóre, że się rozchodzą sensacyjne wieści o niesłychanych przygotowaniach do jej wystawienia. Słychać, że autor wraz z p. Nowickim, aktorem, który ma jedną z ról w „Jakóbie Warce" jeździli w tej sprawie nawet... do szpitala waryatów w Tworkach! ale broń Boże, nie po to, aby aż tam wyszukiwać zwolenników Ibsena, tylko, aby znaleźć wzór jakiegoś objawu choroby. Pan Zgliński bowiem chce koniecznie, aby waryat przedstawiony w jego sztuce był „prawdziwym" waryatem.

Wszystko to u nas z zajęciem sobie opowiadają, bo publiczność nasza gorliwie się zajmuje nawet drobiazgami i osobistemi rzeczami, dotyczącemi naszych aktorów, literatów, dziennikarzy. Nie myślimy wcale jej za złe brać, a dla nas piszących, z tonu i sposobu owego zainteresowania, poważne czasem wynikają wskazówki, niemniej do myślenia dające w wyroku krytyki.

Do ulubieńców publiczności należy niewątpliwie autorka 365 obiadów p. Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Na jej imię na ustach każdego Warszawiaka wybiega uśmiech będący mięszaniną sympatyi, familiarnej poufałości i... odrobinki ironii, a p. Lucynie dobrze z tem wszystkiem i dobrze jest jej „dziełom", które po kilkadziesiąt wydań liczą. Obecnie na zamiar wystąpił p. Ćwierczakiewiczowa w nowej roli i zyskawszy laury „literatki", sięga po togę prelegentki. Odczyt jej będzie naturalnie dotyczył dziedziny rądla, patelni i pieca piekarskiego, gdzie dotąd ciągle jeszcze p. Lucyna berło królewskie dzierży.

Bez „świątecznego jej współpracownictwa" nie obędzie się zapewne także zapowiedziana „wystawa kucharska", która, już naprzód można to wróżyć, będzie miała powodzenie, bo trzeba o tem pamiętać, że po teatrze, rozmaite „wystawy" to najulubieńszy konik Warszawy. Wystawa u nas idzie za wystawą, a ot i teraz mamy jedną, mianowicie „wystawę skór", na której [illegible] sprowadzona z Drezna, która kraje odrazu dwanaście par rękawiczek. Nasi przemysłowcy na tej wystawie nie pochwalili się niczem osobliwem, chociaż wiele jest rzeczy dobrych. Może to i lepiej, że nie silą się na rzeczy nadzwyczajne, starają się, aby całość dawała jak najmniej pola do zarzutów.

W świecie sztuk pięknych mamy ważną nowinę, oto przybył do Warszawy sławny już za granicą obraz Wacława Szymanowskiego „Modlitwa". Lada dzień oczekujemy otwarcia jego wystawy w głównej sali resursy obywatelskiej. Z żadną dziś nawet u artystów, [illegible] pracował Szymanowski trzy lata nad swoim tryptykiem i stworzył rzecz wyborną, dzięki której znowu imię polskie rozgłośnie za granicą się rozlega. Pan Szymanowski to nie rzemieślnik, nie naśladowca i spekulant, ale artysta z łaski Bożej pełen indywidualności i wzniosłego zapału. Dzięki tym właśnie przymiotom, rozumie on doskonale największą indywidualność w polskiem malarstwie, Jana Matejkę. Oto jak wyborną charakterystykę zmarłego mistrza zawarł Szymanowski w krótkich słowach:

„Indywidualność każda — mówi on — to jak dwa zębate koła, które zaczepiwszy się o siebie, ruch tworzą; nie ująć, dodać, ani przestawić nie można, wszystko na swojem miejscu i musi tak pozostać. Indywidualność taką jak Matejki, trzeba brać ryczałtem. Błędy jego wynikają z zalet i na odwrót. Gdyby Matejko nie miał tak silnego pędu do wyrażania potęgi, rysunku i indywidualizowania figur w charakterze i wyrazie, miałby więcej całości w obrazach swoich. Właśnie nadmierne jego zalety wywołują błędy. Do jakiej siły talent Matejki sięga, najlepszym dowodem to, iż tam, gdzie większość malarzy kark skręca — w malarstwie tak zwanem historycznem — on jeden potrafił stworzyć sobie styl swój własny. U innych malarstwo historyczne było najczęściej zimną archeologią, Delaroche'a sława przebrzmiała wraz z jego śmiercią, Piloty za życia jeszcze widział działalność swoją zniweczoną — Matejko jeden usprawiedliwił malarstwo historyczne tylko przez swój olbrzymi talent. Wątpię, by po nim ktokolwiek się znalazł, któryby go w tem zastąpił. Jest to — podług mnie — pierwszy i ostatni malarz historyczny."

O Matejce zamieściły wszystkie warszawskie pisma obszerne wspomnienia, pozwolono nawet na urządzenie w kościele św. Krzyża nabożeństwa żałobnego za duszę zmarłego mistrza. Nie można było zakazać i zdusić objawów żalu po Matejce, bo zanadto był on znany Europie, a krok taki rządu rosyjskiego nie ukryłby się, nie możnaby go przed światem się wyprzeć, jak się to dzieje z innemi postanowieniami przeciw wszystkiemu, co polskie.

Wydano obecnie nowe rozporządzenie, ograniczające swobodę Polaków czyli wszystkich osób rzymsko-katolickiego wyznania. Dotyczy ono małżeństw mięszanych między katolikami a prawosławnymi. Odtąd małżeństwo takie odbyć się może tylko w cerkwi i zapowiedzi także tylko w cerkwi prawosławnej wyjść mogą. Świadectwo bezżenności, które przy takim ślubie ma przedłożyć jedno z małżonków, będące katolikiem, wystawiać ma nie przez księdza, ale przez policyę miejscową.

Największem niebezpieczeństwem grozi właśnie ten ostatni punkt. Jest to niewód zapuszczony na niższe warstwy ludności polskiej i katolickiej. Bo jeżeli ktoś z wykształconych klas naszego społeczeństwa zawiera małżeństwo z osobą prawosławną, jest to zwykle [illegible] przez opinię publiczną, którego zapobieżenie nie szkoda. Ale masy nieoświecone niezdolne są do rozróżnienia subtelności i często biedak taki postanawia się żenić z dziewczyną prawosławną, nieprzeczuwając zupełnie, jakie niebezpieczeństwo grozi w takiem małżeństwie jego narodowości i religii, nie myśli zwłaszcza o tem, że jego potomstwo musi być wedle ustawy prawosławne. Otóż ponieważ dotychczas w takich mięszanych małżeństwach świadectwo bezżenności wystawiali księża, każdy z nich z obowiązku kapłańskiego i narodowego otwierał oczy biedakowi i wykazywał, do czego prowadzą małżeństwa z prawosławnymi, a często, jeśli to był sprytny ksiądz, [illegible] katolickie. Przeciw temu to zbawiennemu wpływowi księży wymierzone jest wspomnione postanowienie, albowiem [illegible] pozbawia [illegible] do świadectw i upoważnia do wydawania ich policyę.

Zabawne pismo wpłynęło niedawno do ministerstwa skarbu. Autorem jego jest litewski żydek, Leiba Cukierman, który całkiem na serjo i z najlepszą wiarą zaproponował przesyłanie poczty za pomocą armat! Według p. Cukiermana bowiem obecny stan cywilizacyi wymaga nieporównanie szybszych przesyłek niż końmi, lub chociażby nawet koleją, sądzi on więc, że poczta w przyszłości będzie tak wyglądać: Stacye będą ustawione w równych mniej więcej odstępach co 10 lub 15 wiorst, a przy każdej znajdować się będzie gruby mur i wielka armata. Listy i paczki, włożone do ogromnej bomby, wystrzeli się z owej armaty do następnej stacyi, tam bomba uderzy o mur i pęknie. Rozsypaną przesyłkę pozbierają urzędnicy i doręczą podług adresu, lub dalej wyszlą w podobny sposób. Bodaj to mieć wynalazczą głowę!...

KRONIKA.

Lwów 23 listopada

Godność podkomorzego otrzymali pp. Stefan Kazimierz Łączyński, rotmistrz w 11 pułku ułanów, Alfred Słonecki, porucznik w 2 pułku ułanów i Adam Tustanowski, podporucznik w 5 pułku huzarów.

Konferencya episkopatu austryackiego zebrała się dnia 20 b. m. w pałacu arcybiskupim w Wiedniu. Z Galicyi przybył ks. Łukasz Solecki, biskup przemyski.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Pilznie rozpisała z terminem do 31go grudnia roku bież. konkurs na kilka posad nauczycielskich. — Magistrat m. Sądowej Wiszni ogłasza konkurs na posadę weterynarza miejskiego z płacą roczną 400 zł. Podania do 31 grudnia rb.

Ze sfer notaryalnych. P. Roman Gutowski mianowany notaryuszem w Milówce, złożywszy przysięgę służbową, objął urzędowanie.

Poseł Szczepanowski w rozmowie z jednym z dzienników lwowskich o ostatnim sejmiku relacyjnym p. Lewakowskiego w lwowskiej sali ratuszowej, tak się wyraził: „Całe wystąpienie jego (p. Lewakowskiego) mnie dziwi. Z Lewakowskim iść już w jednym szeregu niepodobna (z pierwszej sposobności, bez obwijania rzeczy w bawełnę, publicznie to wyłuszczę".

Przeniesienia. Rewident kolei państwowej we Lwowie, p. Jan Sas Matkowski, przeniesiony został jako zastępca naczelnika stacyi do Stryja.

Krakowska Akademia Umiejętności odbyła onegdaj walne listopadowe posiedzenie, na które przybyli ze Lwowa pp.: Wojciechowski, Kętrzyński, Szaraniewicz i Zajączkowski. Prezesem Akademii na następne 3-lecie wybrano hrab. Stanisława Tarnowskiego. Uchwalono także budżet na rok następny, — a na wzmiankę zasługuje nowowstawiona do budżetu pozycya na cele rozpoczęcia prac, dotyczących „Słownika polskiego". Wieczorem prezes hr. Tarnowski podejmował u siebie członków Akademii.

Projekt zabicia cukrowni w Krakowskiem. Za inicyatywą hr. Antoniego Wodzickiego odbyło się dnia 21 bm. w Krakowie bardzo liczne zebranie rolników z okolic Krakowa, celem porozumienia się co do ewentualnej budowy cukrowni. Bardzo wyczerpująca dyskusya nad tą kwestyą wykazała, że przedsiębiorstwo takie ma warunki możliwego powodzenia. Postanowiono wybrać komisyę do dalszego prowadzenia akcyi. W skład tej komisyi wchodzą pp.: Karol Czecz, Skirliński i St. Zeleński, a oprócz tego zaproszono do niej pp.: Wacława Oborskiego i prof. Steingrabera.

Pod murami Melilli zginął w walce z Kabylami Polak Jan Szaduraski, oficer wojsk hiszpańskich. Ś. p. Szaduraski pochodził z Królestwa Polskiego.

Zasiłki na szpitale choleryczne. Wydział krajowy na onegdajszej sesyi uchwalił udzielić gminie miasta Brzozów zasiłek na urządzenie szpitala cholerycznego w kwocie 500 złr. Na ten sam cel udzielono gminie m. Chyrowa 300 zł, a Wydz. pow. w Stryju 1000 zł.

Wiec ruski odbędzie się d. dn. 4go grudnia w Rohatynie.

Śluby. W [illegible] w Stanisławowie odbędzie się dnia 25 bm. o godzinie 9-tej rano ślub panny Maryi Axentowiczówny z panem Emilem Metzgerem, koncepistą krajowej dyrekcyi skarbu. — W tym samym dniu odbędzie się w Peczeniżynie ślub panny Zofii Wolskiej z p. Kazimierzem Otrzywolskim.

Towarzystwo właścicieli realności na ostatnim posiedzeniu, odbytem w niedzielę, uchwaliło przedłożyć p. ministrowi sprawiedliwości prośbę o [illegible] za pośrednictwem sądu i opróżnienia) dla Lwowa, jakie nadano Wiedniowi.

Z Towarzystwa prawniczego lwowskiego. W piątek dnia 24 b. m. o godzinie $6\frac{1}{2}$ wieczór referat p. prof. Dra Tadeusza Pilata a następnie referat radcy Nam. p. Dra Bronisława Łozińskiego, o reformie wyborczej. Ze względu na aktualną ważność przedmiotu uprasza Wydział o jak najliczniejszy udział członków.

W Czytelni dla kobiet odbędzie się w sobotę 25 b. m. jako na parę dni przed rocznicą powstania listopadowego odczyt p. Juliusza Starkla na temat wypadków dziejowych z r. 1831.

Nowa stacya telegraficzna otwartą została w Dembicy, w powiecie pilzneńskim, na dworcu kolei żelaznej.

Obraz Matejki, nieznany we Lwowie, przedstawiający króla Zygmunta Starego na wieży w katedrze krakowskiej podczas dzwonienia w sławny dzwon zygmuntowski, nadszedł z Krakowa do lwowskiego salonu sztuk pięknych, gdzie pozostanie przez czas bardzo krótki. Obraz ten pozyskano dzięki uprzejmości p. Konrada Wentzla z Krakowa, u którego znajduje się w posiadaniu.

Trzy rudery na placu Halickim (front ulica Wałowa l. 8, 10 i 12), które w okropny sposób szpeciły tę część miasta, będą już nareszcie rozebrane. Właśnie magistrat, jako właściciel tych domów, rozpisał konkurs celem sprzedaży materyałów, które się uzyska po ich zburzeniu. W tym celu odbędzie się publiczna licytacya w poniedziałek 4 grudnia o godz. 11 rano w biurze I departamentu magistratu. Kwotę wywołania za materyał rozebrać się mających budynków z wyjątkiem kamienia fundamentowego, atoli z obowiązkiem rozebrania tych budynków ustanowiono na 1010 zł. Przed rozpoczęciem licytacyi winien każdy oferent złożyć do rąk komisyi pisemną ofertę zaopatrzoną w wadyum wynoszące najmniej kwotę 500 zł., które w razie przyjęcia oferty stanowić będzie kaucyę. Bliższe warunki licytacyjne przejrzeć można w biurze I-go departamentu magistratu w godzinach urzędowania.

Trzeci i ostatni wieczór dramatyczny prof. Strakoscha z nowym programem odbędzie się w wielkiej sali ratuszowej w sobotę dnia 25 b. m. na rzecz dotkniętych powodzią w Galicyi i Towarzystwa ratunkowego we Lwowie.

Z Tow. muzycznego. W niedzielę dnia 26 b. m. odbędzie się w sali Towarzystwa (gmach teatralny) pod artystyczną dyrekcyą p. R. Schwarca pierwszy koncert Towarzystwa za r. 1893/94. Program zawiera dużo interesujących numerów.

Sodalicya maryańska. Z Brzozowskiego piszą: W Starej wsi obchodzono z wielką uroczystością w dniu św. Stanisława Kostki pierwszą rocznicę założenia sodalicyi maryańskiej. Ks. biskup Glazer, pomimo słoty i niezupełnego zdrowia, przybył na dzień ten umyślnie z Przemyśla. Na pierwszej już Mszy rannej liczny zastęp sodalisów pod przewodnictwem swego prefekta p. Augusta Gorayskiego przystępował do wspólnej Komunii św., a ślubowania składali nowo-wstępujący kongreganiści z dalszych przeważnie stron wschodniej Galicyi. Sumę odprawił ks. biskup, a podczas ewangelii św. wyciągnęli sodalisi *antiquo more* karabele z pochew, bo za inicyatywą ks. rektora Andrzejczaka w wznowionem bractwie ściśle strzegą i dawnych pięknych zwyczajów praojców. W roku podwoiła się niemal liczba braci maryańskich; z rzeszowskiego, bobreckiego, rohatyńskiego wpływają nowe zgłoszenia. Pp. Bronisław Ujejski ze Strzelisk, Jan Czajkowski z Pietniczan, poseł Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki i wielu innych najpoważniejszych obywateli gorliwie pracuje już nietylko nad rozszerzeniem bractwa, lecz nad założeniem nawet osobnych kongregacyi po obwodach, a na naradach postanowiono starać się o utworzenie w przyszłości centralnego biura sodalicyi maryańskiej. Pracę nad ludem i szerzenie katolickiej oświaty postawiono sobie na razie jako najważniejszą część programu działania, a z podjętych usiłowań sprawę wzajemnie zdać sobie mają pp. sodalisi w marcu roku przyszłego, gdy ponownie zbiorą się na kilkodniowe wspólne rekolekcye.

Ucisk narodowości polskiej. Jeden z księży naszych pisze: „Historya i doświadczenie uczy nas starszych, że tysiące Polaków przechodzą na ruskie w Galicyi wschodniej. Szematyzm dyecezyalny wykazuje, że w siołach gdzie przed 50 laty było 300 dusz polskich, dziś jest ich ledwo 70 do 100. Wielką rolę gra tu odległość od parafialnego kościoła i niedbalstwo Polaków inteligentnych o lud. Chłop mając iść z dzieckiem do chrztu 2 mile w zimie, chętnie nakłania ucho ruskim borytelom, którzy mówią mu: zanieś dziecko do cerkwi miejscowej, po co ci wlec się błotem lub zimą do twej parafii. Więc biedak niesie niemowlę do cerkwi jedno, drugie, aż wreszcie sam przyłącza się do obrządku dzieci. Raz odwiedzałem ruskiego księdza mieszkającego o ćwierć mili odemnie. Zastałem na plebanii Polaków, którzy przynieśli mu polskie dziecię do chrztu, a diak szykował wszystko księdzu ruskiemu do udzielenia chrztu św. Odległość pół mili od parafii nie wielka, dlaczego ci ludzie zanieśli dziecię Rusinowi? Nie namyślając się nad rozwiązaniem tej kwestyi i nie chcąc obrażać nikogo, zagadałem moich parafian, że pewno dla słabości dziecka nie mogli go przynieść do kościoła, a na konie ich nie stać, więc przyszli piechotą, ponieważ zaś wszystko było przygotowane, zaraz udzieliłem dziecku chrztu św. W tej wsi rewindykować musiałem około 40 dzieci zagrabionych.

Niższa służba po naszych dworach i folwarkach przyczynia się także do osłabienia polskości w ludzie. Ile to razy upominałem karbowników i ekonomów, aby do polskiego robotnika mówili po polsku, a nie po rusku. Dlaczego ekonom Polak ma do chłopa polskiego po rusku mówić? Jedni powiadali mi, że dla tego mówią do nich po rusku, aby się pochwalić znajomością tego języka; inni, że chłop jest chamem, więc po polsku nie warto rozmawiać z nim. Zasadą Polaków powinno być z Rusinami mówić po rusku, z polskim chłopem po polsku. Wtedy chłop będzie miał ciągłą praktykę w używaniu tego języka.

Teraz, w obec bliskiego rozszerzenia prawa głosowania, koniecznem jest budzić w Polakach, jeszcze nie zruszczałych świadomość swej narodowości i bronić ich wszelkimi sposobami przed zruszczeniem. Wtedy oparcie będziemy mieli na swoich głosach, nie potrzebując ustępstwami stałemi, chwilowo zyskiwać głosy ruskie. Rusini robią ustępstwo ze swych głosów na lat 6, a Polacy robią ustępstwo ze swych praw na wieki. Zakładajmy czytelnie polskie, parafie i kaplice, a wtedy sami damy sobie radę na Rusi. *F.*

Sprostowanie. Z Kozłowa nam piszą:

W *Przeglądzie* z dnia 1 bm. nr. 250 umieszczono w kronice korespondencyę p. n. „Z Kozłowa." W ustępie drugim autor czyni zarzut z powodu budowy nowej drogi gminnej Horodyszcze-Kozłów-Jezierna; ponieważ ten zarzut jest bezpodstawny, przeto proszę o ogłoszenie niniejszego sprostowania:

Autor wspomnianej korespondencyi pogmatwał sprawę wyborów gminnych z budową drogi przez Wydział powiatowy brzeżański rozpoczętą i w złośliwy sposób bez żadnych słusznych powodów rzecz tę przedstawia.

Zupełnie i należycie ukończonej drogi jest jeden kilometr, wyszutrowanej a jeszcze niezwalcowanej 350 metrów, tudzież 150 metrów, na których roboty ziemne ukończone, ale nie zaszutrowano ich, gdyż mimo szczerych chęci wskutek tak słotnego roku jak bieżący nie można było tego uskutecznić. Koszta całej budowy wynoszą 5702 zł. 94 ct., a nie ośm do dziesięciu tysięcy za jeden kilometr, jak autor w swej korespondencyi podaje; do tego jeszcze 1000 metrów sześciennych kamienia łamanego, wywiezionego i tłuczonego, a 424 m. sześc. kamienia łamanego. Oprócz tego w koszta podanej kwoty wchodzą wydatki na trasowanie, sprawienie narzędzi i administracyę, a wynoszą one 915 zł. 28 ct.; zaś wartość wyżej wspomnianego kamienia wynosi 2109 zł. 50 c. Cały zatem koszt wybudowanej drogi wynosi 8678 zł. 16 ct.

Co do rzekomych bagien na wybudowanej już drodze, mogę zapewnić, że one wcale nie istnieją, a fachowiec każdy wie, iż na murowanej i zaszutrowanej drodze nikt nigdy bagna nie widział.

Kozłów dnia 20 listopada. *Gustaw Brosch*
kierownik budowy.

Suum cuique. Pod tym tytułem otrzymaliśmy następujący list:

W numerze 263 *Przeglądu* zaznaczył szanowny ks. dziekan Gromnicki niewłaściwość niektórych redakcyi przesyłających a względnie narzucających z końcem roku okazowe numera gazet i dzienników. Jest w tem wiele racyi. Zamiast bowiem gromadzić siły pod wybitnymi sztandarami redaktorskimi, gromadka udająca pseudoliteratów lub beletrystów na własną rękę pragnie od czasu do czasu uszczęśliwić świat Boży pisemkami lub dzienniczkami bardzo wątpliwej a prawie zawsze efemerycznej wartości. Szkoda papieru, szkoda czernideł, a przedewszystkiem czasu. Wprawdzie tu i ówdzie da się ułowić kilku naiwnych prenumeratorów, wyda się jeden lub dwa numera, a potem cisza; prenumerata przepada i nikt nie poszukuje wiatru-redaktora w polu. Niestety smutne, przykre, demoralizujące, ale prawdziwe.

Takich zapewne miał ks. Gromnicki na myśli, inaczej uwłaczałoby to redakcyom pism uszlachetniających społeczeństwo. Na okaz posyłał swe pisma nestor dziennikarzy śp. Stupnicki, Stalmach, Dobrzański, a przecież o tendencyach w ich pismach zawartych tylko z głębokim szacunkiem wyrazić się można. Jestto jedna i jedyna droga, którą czytającą publiczność można uwiadomić i dać jej sposobność przejrzenia i ocenienia nowego pisma. Przeto „medium beati tenuere", a potępianie każdej redakcyi za wysyłanie numeru okazowego jest bądź co bądź zbyt ostrym sądem.

Buczacz 22 listopada. *Dr. Krzyżanowski.*

Śliczny porządek. Z Firlejowa nam piszą:

Dnia dzisiejszego jechałem z Duszanowa do Firlejowa drogą powiatową, zostającą w zarządzie Wydziału powiatowego w Rohatynie. Droga ta pełna jest dziur i wybojów, od lat kilku nie naprawiana; od wywrotu i kalectwa uchroniłem się w ten sposób, że wóz prosty podtrzymywali dwaj silni parobcy przez całą jazdę.

Za Boską pomocą dostałem się szczęśliwie do mostu, rzuconego przez Gniłą Lipę w Firlejowie. Most ten bardzo wysoki i dosyć długi jest pełen dziur, chwieje się jak trzcina, zniszczony tak, że niepodobna po nim przejechać bez niebezpieczeństwa skaleczenia koni i siebie. Za poradą więc kilku mieszkańców firlejowskich jadę przez rzekę w bród, jak to tamtejsi mieszkańcy z konieczności czynią.

Zaledwo wjechałem w rzekę, silny prąd wody unosi konie, wywraca wóz, rzeczy z wozu wypadają i płyną z prądem. Z wielkim trudem wyratowałem konie, a rzeczy połapali ludzie firlejowscy koło mostu w Rudzie. Szkody poniosłem na 150 zł., której sądownie poszukiwać będę na zwierzchności gminnej w Firlejowie i Wydz. pow. w Rohatynie.

Na taki nieład i bezrząd Wydział powiatowy w Rohatynie patrzy obojętnie.

Uproszony przez kilku mieszkańców Firlejowa, którym miłe jest zdrowie i życie, udaję się do Szanownej Redakcyi, a może wskutek tego pisma Wydział powiatowy w Rohatynie zapobiegnie temu iście azyatyckiemu nieporządkowi, a w ten sposób zmiłuje się nad tutejszymi mieszkańcami, którzy na równi z innymi płacą rozmaite dodatki do podatków i dodatki do dodatków, a najmniejszej korzyści ztąd nie mają.

Firlejów 21 listopada. *S. Romanowski.*

Odcięci od świata. Z Lutowisk piszą nam: Komunikacya do nas niemożebna — odcięci jesteśmy od świata — poczta z Ustrzyk zamiast 3 godziny, jedzie dwa dni. Droga powiatowa czyli t. zw. „szosa", łącząca nas z Ustrzykami, przedstawia od wsi Rabe do Lutowisk, rozpaczliwy obraz. Drogą tą jedyną liczne tartaki muszą transportować swe drzewo do Ustrzyk. Katowania i kalectwa koni codzienne na całej linii. Trudno uwierzyć, że żyjemy w kraju cywilizowanym, w którym istnieją prawa ochrony zwierząt i... ludzi.

Utrzymanie tego gościńca należy częścią do powiatu liskiego, częścią zaś do turczańskiego.

Zanosimy za pośrednictwem Szanownej Redakcyi gorącą prośbę do Wys. Wydziału krajowego i do pp marszałków obydwu powyższych powiatów o radykalne zarządzenia.

Drogę tę należy teraz naprawić, a z wiosną gruntownie przerobić, gdyż jest ona złą zawsze: tak w lecie, jak w jesieni. *Mieszkańcy Lutowisk.*

Po amerykańsku. Na wystawie w Chicago każdy z wielkich dzienników amerykańskich ma swoją izdebkę, połączoną telefonem z redakcyą. Owóż w izdebce dziennika chicagowskiego *Daily News* wisi przed drzwiami ogromny plakat:

„Uprasza się o plucie na podłogę, ściany, a nawet i na pułap, lecz nie do spluwaczek;

Kładzenie mokrych butów na biurkach nie niszczy wcale papierów;

Reporter posiada nieprzebrany zapas cygar i zapałek dla każdego z gości;

Będzie wdzięczny tym, którzy raczą głośno rozmawiać, gwizdać i zarzucać go pytaniami o atmosferze na księżycu lub mieszkańcach Marsa w czasie, gdy jest zajęty pisaniem artykułu do swego dziennika;

Nie obrazi się wcale, gdy który ze znajomych uderzy go znienacka w plecy dla sprawienia mu miłej niespodzianki;

Kto zapomniał dolara w domu, niech się nie krępuje. Kieszeń reportera stoi otworem dla wszystkich;

Wieszadła nie służą do wieszania paltotów i kapeluszy; od tego są krzesła i biurka;

Zabieranie dzienników i książek bez pytania uszczęśliwi bardzo właściciela;

Niech nikt nie zapomni przy wyjściu z pokoju trzasnąć silnie drzwiami..."

Redakcya dziennika *Daily News* utrzymuje, że w ten odwrotny sposób wyrażone życzenia odniosły doskonały skutek.

Praktyczna rada. Nie wiedzieć, skąd utarł się między nami czysto chińskie pojęcie, że zgrabna noga musi być koniecznie mała. Dość, że urocza dama i dorodny młodzian starają się o to, aby obuwie było mniejsze aniżeli noga. Że tam w skutek ciasnego obuwia tworzą się nagniotki, że na balu taki jegomość w ciasnych lakierkach cierpi męki Tantala, mniejsza o to, ma za to piękną i zgrabną nogę. Cel w zupełności osiągnięty.

Lecz nie chodzi tu o tych nieszczęsnych męczenników szyku. Człek stateczny, któremu oddawna wszelkie amory z głowy wywietrzały, nie myśli bynajmniej o zgrabnem, lecz o wygodnem obuwiu. Idzie tedy zrana do szewca i przymierza buty. Wyborne. Nic a nic nie cisną. Leżą jak ulane. Zadowolniony tedy wielce, płaci i wychodzi. Aż tu po południu owe wygodne buty zaczynają piec i ściskać nogę, na wzór hiszpańskich inkwizycyjnych butów. Jegomość nasz idzie do szewca z wymówkami:

— Panie! buty są za ciasne... Kroku zrobić nie mogę.. Trzeba je rozbić..

— Wszak pan dobrodziej przymierzył, były wyborne. Zresztą, rozchodzą się.

— Ale co mi po tem.. Będę się męczył przez cały tydzień albo i dłużej Weź pan buty natychmiast i rozbij.

I pan majster zgrabne buciki niemiłosiernie defiguruje na kopycie. Po co?

Kto chce mieć zgrabne i wygodne buty, winien o tem pamiętać, żeby nigdy butów nie kupować rano, lecz wieczorem, a to dla przyczyny stwierdzonej naukowo, że rano noga zawsze jest mniejsza, natomiast w dzień po kilku godzinach chodzenia lub stania rozszerza się we wszystkich kierunkach i to nawet dość znacznie.

Paderewski w Londynie. O nadzwyczajnem, prawie bezprzykładnem powodzeniu, jakiem się odznaczył ostatni koncert naszego pianisty, pisze najpoczytniejszy, bardzo poważny, dziennik angielski, *Standard* z d. 1 b. m. co następuje: „Od pożegnalnych wystąpień Antoniego Rubinsteina w r. 1886-ym, żaden pianista nie zdołał rozniecić takiego zapału, takiego uwielbienia w londyńskich amatorach muzyki, któreby równać się mogło z uniesieniem, wywoływanem przez Paderewskiego. Przybywszy do nas przed trzema laty przeszło, spotkał się on naprzód z obojętnością. Obojętność ta jednak przeszła w rosnące stale coraz większe uwielbienie i w pewien rodzaj czci jakby dla bohatera i uniesień, niepojętych nawet u najgorętszych przyjaciół sztuki, której zdumiewającym tłómaczem jest ten polski wykonawca. Nikt z nas nie pamięta takiego natłoku i takiego żądania biletów, jak widzieliśmy w St. James Hall, wczoraj po południu, na koncert Paderewskiego; zapał zaś słuchaczów przechodził jeszcze niezmiernie wysokie ceny, jakie za wstęp na salę musieli zapłacić. Jednakże w programie koncertu Paderewskiego nie zamieszczono nic wyrachowanego na efekt, zapowiedziane tylko utwory, mistrzowskie wprawdzie, ale znane w każdem kole lubowników gry fortepianowej. Zresztą dziś byłoby rzeczą dla koncertanta trudną a nawet niemożebną przedstawić dzieło ważniejsze jakiego wielkiego kompozytora, któregoby nie znała większość ukształconych słuchaczy. Mieliśmy więc naprzód Bacha, tyle razy słyszaną, fantazyę chromatyczną i fugę z *D-minor*, wykonane w pewien rzecz można sposób romantyczny, pieszczący każdą frazę — jak gdyby artysta miał do czynienia z jakim nokturnem Chopina. Ten jednak sposób wykonania jest najzupełniej usprawiedliwiony. Pamiętać bowiem należy, że Bach przekładał klawikord z jego słabem i nikłem brzmieniem od harpsikordu, ponieważ na pierwszym pewne stopniowania tonu można było wydobyć przez zmianę nacisku palcami. Beethovena sonata z D-minor op. 31 była także grana z wielkiem, może nawet zbytniem uczuciem. Ta ostatnia uwaga stosuje się głównie do *adagio*. Sonatę Szumana, dzieło nieco rapsodyczne z F-minor, rzadko grywane na koncertach, artysta w bardziej męskim i silnym stylu traktował. Dopiero jednak gdy się zwrócił do Chopina, stanął na zupełnie pewnym dla siebie gruncie. Wykonanie ballady z F N. 2 i etiudy było tak cudne, iż rozbrajało wszelką krytykę. Takież samo wrażenie zrobiła na wszystkich niezmierna subtelność uczucia, rozwinięta w znanym powszechnie nokturnie i polonezie. Ta część koncertu, poświęcona Chopinowi, była jednym szeregiem niepodobnych do określenia powodzeń..." Paderewski grał jeszcze swoje waryacye na temat angielskie, walc Rubinsteina i rapsodyę Liszta Nr. 13, oraz dwie sztuki nadprogramowe, uwagi jednak o tych numerach nie przedstawiają interesu. Chodziło nam zresztą tylko o doniesienie, jak bezprzykładną popularnością cieszy się w Londynie nasz artysta i jak wysoko jest tam ceniony.

Trzy straszliwe doby przeżyli niedawno liczni podróżni parowca „Gellert", który w dniu 16-ym z. m. odpłynął z Hamburga do Nowego-Yorku, wioząc nader obfity ładunek mięszany, oraz 40-tu kajutowych i 221 podpokładowych pasażerów. Pierwsze dni żeglugi przeszły bez wypadku. Naraz, w dniu 21-go z. m., około północy, do stojącego na posterunku swoim kapitana Kampfa, zbliżył się dyżurny majtek, raportując, iż z wentylów, wprowadzających świeże powietrze do wnętrza statku, poczyna wydobywać się bardzo gęsty dym. Kapitan zakomenderował natychmiast: „Wszyscy na pokład!" Okazało się jednak, że niektórych podróżnych trzeba było budzić z ciężkiego snu i wyciągać z łóżek, ostatecznie jednak, przyodziani naprędce, znaleźli się wszyscy na pokładzie. Zarządzone badania przekonały niebawem, iż złożone na spodzie okrętu towary płoną. Najenergiczniejszy ratunek, prowadzony do rana, nie przyniósł żadnego rezultatu, jakkolwiek bowiem płomienie nie wydostawały się na zewnątrz, dym jednak pojawiał się ciągle, utrudniając dostęp

1 października

Śród ciszy nocnej wydobyłem portret Lavinii, jak złodziej, który chce popatrzeć na swoje skarby. To nie zbrodnia! Postawiłem malowidło na ziemi, żeby je oświetlił płomień kominka, wyciągnąłem się przed niem i przyglądałem mu się przez godzinę. Czy też umarła? Mam nadzieję. Umarła, albo umrze wkrótce przy takich krwotokach. Mogę więc patrzeć na jej portret, nie popełniając zbrodni. To niby powiew z raju, który wskrzesza we mnie wiarę w szczęście, w mój talent, w moją przyszłość.

3 października.

Jeszcze mnie dreszcz przejmuje.

Zapatrzony w portret, usłyszałem nagle lekki szelest; podnoszę oczy: Nora w długiej, białej szacie przesuwa się przedemną ku portyerze, unosi ją i znika. Jej chustka do nosa upadła przy mnie na dywan.

A więc stała przez kilka minut za mną; przypatrywała się portretowi wraz ze mną, a ja nic nie widziałem, bom płakał z głową na rękach opartą. Podniosłem i schowałem pod klucz chusteczkę zwilżoną jej łzami. Nie będzie nigdy wiedziała, żem ją spostrzegł. Nie wydobędę już tego portretu z ukrycia, chyba że drzwi dobrze pozamykam. Ale jeżeli je będę zamykał, Nora się domyśli, żem ją widział! Serce moje bije tak gwałtownie, że słyszę jego uderzenia i mam szum w uszach! I mówią o duchach! Ależ jabym wolał widzieć całe piekło, wirujące dokoła mnie, niż wiedzieć to, co wiem i czego nie mogę zapomnieć.

Nora była boso; małe jej stopy wysuwały się nieco z pod długiej, białej sukni, którą unosiła z lekka, by nie przeszkadzała w chodzeniu. Umrze może ze skutków swej nierozwagi. Jak długo stała za mną? Płakała tak cicho! I za mojem pierwszem poruszeniem uciekła! Nie wiem już ile godzin tak spędziłem! Teraz trzecia rano. W każdym razie już dawno tu jestem. Chcę popatrzeć na inny portret; na portret mojej córeczki, którą odmalowałem wśród kwiatów, w jej niezwykłej urodzie dziecięcej. Obraz ten tchnie spokojem, ale wszelki spokój taki mi obcy, że odwróciłbym się od wrót raju, ścigany przekleństwem żyda wiecznego tułacza.

Nora stała się przezemnie żoną i matką; wszystko zostało jej wydarte z mojej winy i jest teraz najnieszczęśliwsza. Niechaj mi to Bóg przebaczy! Zdaje mi się, że dźwięczy mi w uszach „Pieśń pokutna" Beethovena z wniosłą obietnicą, która ją kończy. Czy istnieje rzeczywiście miłosierdzie boskie? Ja w nie nie wierzę; wierzę tylko w cierpienie.

Mój przyjaciel Herman widzi, że cierpię; chciałby mi ulżyć. Zabiera mnie często do lasu; tam rozmawiamy o naszych szaleństwach studenckich, o wszystkich figlach, wspólnie płatanych. Czułość jego i dobroć sprawia, iż znoszę życie między matką, bratową i braćmi, jakkolwiek to wcale nie łatwe.

Chwilami odczuwam ochotę zwierzenia mu się ze wszystkiego; ale nie mam już do tego prawa, jestem żonaty! Moja biedna żona przyszła mnie pocieszyć i zastała mnie przed portretem Lavinii! Wiem, że już tu nie wróci. Będę mógł wydobywać ten portret co wieczór; ona tu nie wróci; ale już nie mogę. Zresztą, widok jego przestał być mi pociechą, przypomina mi teraz jedynie piekący ból mojej żony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ratującej załodze. Poczęto wybijać dziury w pokładzie i zalewać nagromadzone towary, okazało się jednak niebawem i to bezskutecznem, owszem, dostęp powietrza wzmagał tylko ogień wewnątrz statku. Wystawiono sygnały ratunkowe, ale nawet przez najlepsze lunety nie można było dojrzeć żadnego statku, do którego możnaby się było o pomoc odwołać. Trwogi pasażerów i energii załogi, walczącej ustawicznie dniem i nocą, z groźnym a niedostępnym nieprzyjacielem nie da się opisać. Dopiero 24 z. m. nad wieczorem, po trzech dobach wysiłku, kapitan zawiadomił pasażerów, iż ogień został stłumiony. Okazało się, iż zapaliło się samo z siebie, wiezione w znacznej ilości pierze, a obok niego spłonęła i znaczna ilość innych towarów, które po opanowaniu ognia wrzucono do morza. Ostatecznie dzielny kapitan zawitał szczęśliwie do New-Yorku. Jest on meklemburczykiem. Pasażerowie nie mają dość słów pochwały dla jego energii i zimnej krwi, jakich ciągle składał dowody podczas owych trzech dni straszliwych. Reporterowie amerykańscy oblegają go też dla *interviewów*.

Lokajska ulica. Pod tym tytułem *Kijowskie Słowo* zamieszcza następującą notatkę: „W tych dniach w Krakowie jedną z nowo utworzonych ulic nazwano ulicą Stachowskiego, na cześć lokaja hrabiostwa Branickich. Lokaj ten już przeszło 20 lat służy u hr. Branickich i złożył majątek, który oceniają na 100.000 złr. Magistrat m. Krakowa chcąc uczcić tego wielkiego męża i przypodobać się hrabinie Branickiej nazwał jedną z ulic ulicą Stachowskiego". Jak się ma rzecz z tą ulicą Stachowskiego nie wiemy i nie wiemy nawet, czy ulica tej nazwy istnieje w Krakowie. Sądzimy jednak, że powyższa notatka opartą jest na fałszywych informacyach, bo trudno nam przypuścić, aby magistrat krakowski nadawał jakiejś ulicy miano Stachowskiego, dlatego jedynie, że ów p. Stachowski służył przez lat 20 w domu hr. Branickich i dorobił się znacznego majątku.

Keine dumme Idee! Oto frazes, który od kilku tygodni uzyskał prawo obywatelstwa na dworze niemieckim, a to z następującego powodu:

W ogrodzie pałacu cesarskiego w Poczdamie wznoszono w lecie nowy pawilon, a kiedy już był skończony, oglądał go cesarz Wilhelm szczegółowo, poczem kazał zawołać podmajstrzego i oświadczył mu, że zamierza wyprawić ucztę wszystkim robotnikom, którzy przy tej budowie pracowali. Podmajstrzy uśmiechnął się i nie namyślając się ani chwili, rzekł: „Das ist keine dumme Idee."

Cesarz uśmiał się serdecznie i opowiedział całe to zajście przy stole. Od tej pory wszyscy na dworze cesarskim powtarzają — czy jest ku temu sposobność, czy też jej nie ma — „Das ist keine dumme Idee!" Oczywiście, że uczta dla robotników odbyła się, a na honorowem miejscu zasiadł ów podmajstrzy.

Milionowy spadek na Litwie. W roku 1822 umarł na Litwie Stanisław hr. Manuzzi i pozostawił olbrzymi majątek oszacowany na półtora miliona rubli a składający się z dóbr Belmont, Opsa, Łódź i Bohin. Dożywotnią właścicielką tych dóbr wskutek testamentu hr. Manuzziego stała się jego małżonka, a kiedy ta w roku 1878 umarła, wywiązała się w familii walka o sukcesyę. Najpierw objęli te dobra trzej bracia Strutyńscy, ale nim zdążyli przeprowadzić podział, zgłosił się niespodziewanie p. Józef Sarnecki, jako jedyny prawny spadkobierca dóbr po Manuzzim. Nie dosyć tego. Wkrótce wypłynął trzeci pretendent, hr. Juliusz Strutyński, i zarzucił współzawodnikom swoim, że opierają się na sfałszowanych dokumentach. Która z trzech stron zwycięży? To pytanie obiegało całą Litwę. Tymczasem sprawa wzięła obrót zarówno niespodziewany, jak szkodliwy dla naszych interesów narodowych na Litwie. Oto jako pretendent do dóbr Manuzziego zgłosił się sam rząd na podstawie, iż spadek jest „bezdziedziczny", gdyż krewni nieboszczyka zgłosili się po upływie terminu, a zatem w obec przedawnienia dobra przejść winny w posiadanie skarbu. Przeciw temu wniosła rodzina śp. Manuzziego zgodny rekurs, rozprawę już przeprowadzono, ale z ogłoszeniem wyroku rząd się jeszcze wstrzymuje.

Frak kolorowy. Ze wszystkich stron oświadczają się fachowi eleganci za kolorowym frakiem „Union Philanthropique et Chambre Syndicale des Maitres-Tailleurs" w Brukseli w najnowszym numerze wydawanego przez siebie dziennika mód zamieszcza ilustracyę trzech panów w kolorowych frakach. Brukselczycy są za jednolitą barwą fraka i inekspryma bli w przeciwieństwie do wiedeńskiego „Modeclubu", który uważa, że daleko ładniej wygląda pstrokaty kostyum. Proponują zatem krawcy brukselscy, aby przyjąć kolory ciemnopopielaty i ciemnobrązowy; tylko jeden z panów przedstawionych na ilustracyi, ma na sobie ciemnobłękitny frak a jasnopopielate spodnie.

W Wiedniu twierdzą, że jednokolorowy kostyum, proponowany przez krawców brukselskich zanadto przypomina liberyę lokajską.

Tryumwirat muzyczny. Wiadomo, iż we Włoszech jest teraz na widowni trzech muzyków: Piotr Mascagni, Roger Leoncavallo i Jakób Puccini. Pierwszy wsławił się „Kawaleryą", drugi „Pajacami", a trzeci operą noszącą tytuł „Manon Lescault". Operę tę wystawiono tymi dniami w Rzymie. Rolę bohaterki, panny Manon Lescault przedstawiała śpiewaczka pani Ferrani, kawalera Des Grieux tenor Beduschi, rolę zaś Goronta grał Polonini, a brata Manon sierżanta Lescault baryton Angelini. Utwór Pucciniego od razu zdobył pierwszorzędne stanowisko wśród teatralnych produkcyi włoskich. Pierwszy ogólny wybuch zapału wywołała przepiękna romanza pierwszego aktu, po mistrzowsku wykonana przez tenora Beduschiego, który ją musiał powtórzyć; również z uniesieniem kazano powtórzyć przesłodki madrygał i duet miłości Manon z kochankiem, będący arcydziełem, tudzież iście mistrzowski finał aktu trzeciego, który oczarował słuchaczy i także za arcydzieło uznany został. Publiczność rzymska, tak wybredna i trudna, była zachwycona operą niezrównanej świeżości i wdzięku, jaką Puccini wysnuł z wiecznie młodej w swej wiekowej pieśni powieści księdza Prévost, i kompozytora wywołała trzydzieści razy, co jest niemal bezprzykładnem powodzeniem na pierwszem przedstawieniu opery.

Puccini liczy lat dopiero trzydzieści i jest uczniem Angeloniego w Lucce, zkąd sam rodem, Ponchiellego i Bazziniego w konserwatoryum medyolańskiem. Od najpierwszej swej młodości poświęcał się muzyce.

W roku 1884 w teatrze Dal Varme w Medyolanie wystawił Puccini pierwszą swą operę „Le Villi", ale upadła. Drugą jego operę „Edgar" dano w roku 1889 w medyolańskiej la Scala. Libreto jej jest liche i niedorzeczne, więc także upadła. Dopiero ta trzecia opera „Manon Lescault" wynagrodziła go za dwa poprzednie zawody i postawiła od razu obok dwóch najsławniejszych współczesnych mistrzów włoskich.

Muzykalne paletoty. Berlińska policya wynalazła aparat, który ma chronić płaszcze męskie przed złodziejami. Jest to gumowy balonik z drobnym mechanizmem, który się przymocowuje do wieszadła paletota. Wieszając płaszcz w przedpokoju, napełnia się balonik powietrzem w najzwyklejszy sposób nadymając go dmuchaniem, póki nie dojdzie do rozmiarów głowy dziecka, poczem pozostawia go się w ukryciu między fałdami sukna. W chwili gdy się płaszcz z kołka zdejmuje, balonik wydaje przeraźliwy świst, który się kończy płaczliwym jękiem. Gdy zdejmującym jest złodziej, to świst w paletocie alarmuje jego właściciela; kiedy zaś sam właściciel ma zamiar wziąć sobie płaszcz, to przed zdjęciem z kołka spokojnie wypróżnia balonik. Przy tym nowym wynalazku zachodzi tylko obawa, że wkrótce złodzieje posiędą tę tajemnicę i chcąc kraść paletoty z alarmującym aparatem, w ten sam sposób jak właściciele, uspokajać będą hałaśliwy balonik.

Najzimniejszem miastem na świecie jest Wierchojańsk w Syberyi. Tam w zimie temperatura spada do — 39° R., a średnia roczna wynosi — 27·7° Reaum.

Coraz niżsi ludzie. Miarę pruskiego rekruta zniżono teraz z 1·57 ctm. na 1·54 centymetry.

Zmarli. Elżbieta z Łuszczakiewiczów Stransowa, żona radzcy budownictwa, umarła we Lwowie, w 56 roku życia. — Ksiądz Józef Grabiński, gr. kat. proboszcz w Kutkorzu, umarł we Lwowie w 61 roku życia. — Julian Freyselsfeld Chitry, radzca dworu, teść profesora Zacharjewicza, umarł w Krakowie, w 77 roku życia. — Ksiądz Karol Urbańczyk, proboszcz rz. kat. z Kóz, umarł w Krakowie w 59 r. życia.

Stan powietrza. Term. 0° o godz 8 rano, w poł. + 3° R. Bar. 760. Spada. Pogodnie.

Aforyzmy o kobietach.

„Są dwa rodzaje kobiet: obdarzone sercem i te kochają jednego, pozbawione serca i te kochają wielu." *Maurycy Jokai.*

„Kobieta jest zazwyczaj ostatnim przyjacielem, który mężczyźnie pozostaje w nieszczęściu." *Jean Paul.*

Czuła żona.

Iks powraca do domu, gdzie zastaje żonę z zapłakanemi oczyma.

— Co tobie?

— Mężulku, płakałam przez dzień cały.

— Z jakiego powodu?

— Ygrek kupił żonie futro za 200 zł.

— Więc czegożeś płakała? Niechby on płakał, ale nie ty...

— Płakałam, bo... mi żal ciebie, że musisz zrobić to samo...

Literatura i Sztuka.

* **Kalendarz Asekuracyjno Ekonomiczny** na rok 1894, Rocznik III. Lwów. Główny skład w księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza 1894.

Jest to jedyny kalendarz, który odstępuje od przyjętego u nas w tym dziale wydawniczym szablonu. Zwykły wydawca kalendarza mając kalendarium i stos anonsów, dodaje do tego kilka lub kilkanaście kartek wierszy i nowel, mniej lub więcej udatnych, potem spis adwokatów i lekarzy we Lwowie, przepisy pocztowe i kalendarz gotów. Ale też po przeczytaniu działu literackiego, co zwykle jeszcze przed Nowym Rokiem następuje, kalendarze takie prócz wyszukiwania imienin i notowania terminów, nie na wiele więcej się przydają, bo po macoszemu traktowany jest w nich dział informacyjny, który powinien być najważniejszym. Pierwszym kalendarzem u nas, którego wydawcy poszli inną drogą, jest asekuracyjno-ekonomiczny. Właśnie trzeci jego rocznik na r. 1894 opuścił prasę Bo, pominąwszy już doskonale zestawiony kalendarz astronomiczny, świąteczny, łowiecki, stuletni, mamy tu spis adwokatów w całym kraju, sądów, notaryuszów, techników, delegacyę polską w Wiedniu, dalej dział, dotyczący banków, asekuracyi krajowych i obcych, opracowany przez p. Bolesława Lewickiego, rzecz o kasach oszczędności, p. T. Łopuszańskiego, daty o rozmaitych towarzystwach i przeróżne przepisy. Nawet dział fachowo-literacki zawiera artykuły, które potrzeba często mieć pod ręką, a wszystkie opracowali wybitni fachowcy. Z szeregu tych małych naukowych rozprawek wymieniamy następujące: „Wystawa" krajowa hr. J. Łubieńskiego, „Nowa waluta" dr. Głąbińskiego, „O kółkach rolniczych" T. Merunowicza, „Pogląd na stan ubezpieczenia budynków" J. Mrazka", „O ubezpieczeniu robotników" dr. W. Lewickiego i inne. Dla okrasy jest coś także z literatury pięknej, mianowicie dwa wiersze Rodo ia: „Rolnik" i „Rada", A. Wilczyńskiego zaś sylwetka „Pan Marcin". Wydawca kalendarza p. Michalewski dzięki temu, że go starannie opracował, zdołał mu już wyrobić dobre imię, a spodziewać się należy, że koło zwolenników „Kalendarza asekuracyjno-ekonomicznego" nieustannie zwiększać się będzie, tembardziej, że cena jego jest stosunkowo bardzo niską, wynosi bowiem 60 ct. za egzemplarz obejmujący 24 arkuszy druku, a za wydanie zbytkowne, na welinowym papierze w płóciennej oprawie 1 złr. 20 ct.

* **Kalendarz humorystyczny warszawski** zawiera pomiędzy innemi nową co do pomysłu i doskonałą w wykonaniu część drukowaną starym gotykiem, a noszącą napis: „Krotochwilne Calendarium abo Rocznik." Jestto nader udatne naśladowanie staropolskich raptularzy z zachowaniem właściwego stylu i pisowni. Część tę „wykoncypował y wypisał Arthurus Oppman, civis varsaviensis." Z podanego w części tej pełnego humoru wiersza „O rymopisach z łacińskiego Poethami zwanych" pozwolimy sobie przytoczyć ostatnią strofę:

„Warto wyżenąć one kanalije,
Bo to do śmierci na borg ieno żyie;
W onych swych rythmach nałga co się zmieści
Y ieszcze wielkiey żąda mu się cześci.
O, czytelniku! strzeż swą dziatwę zacną,
Boć można głupstwem zarazić się łacno,
A iuż mors lepsza lub złamanie szyiey
Od poezyiey!..."

Część ekonomiczna.

Wiedeń 21 listopada.

(Z.). Z każdym dniem ożywia się ruch na giełdzie. Rzesze drobnych spekulantów, które ostatnimi czasy wystraszone rosnącem z każdym dniem ażiem, usunęły się od wszelkich spekulacyi, znów pojawiają się na targu. Najważniejszym wypadkiem dnia dzisiejszego był dalszy znaczny spadek kursu monet złotych. Kurs napoleondorów spadł dziś na 9.97½, kurs 100 marek niemieckich na 61.62 t. z., że ażio po nad relacyę wynosi dziś tylko 4.8%, a niedawno jeszcze wynosiło 7%.

Ten korzystny zwrot na targu monet złotych jest w pierwszej linii rezultatem tego, iż kontrmina odkupuje walory, a następnie, że wielu spekulantów, którzy ostatnimi czasy operowali na zwyżkę monet złotych, pozbywa się obecnie swych zapasów, bojąc się znaczniejszych strat. Mówiono dziś także dużo o tem, że p. Plener zamierza podwyższyć stopę procentową od asygnat salinarnych. Zwyżka dzisiejsza była powszechną, podniosły się zarówno walory bankowe, jak kolejowe, przemysłowe i renty. Zdziwienie pewne wywołał w sferach giełdowych reskrypt ministra finansów, ustanawiający ażio przy opłatach cłowych na grudzień. Ażio to ustanowiono na 26½ prct., t. j. o 1 prct. wyższe, aniżeli jest w listopadzie, tymczasem jak widzimy, kurs złota w tym miesiącu znacznie się obniżył. Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 342·—, węgierskie 418·—, Anglobanki 152·—, Uniony 253·—, Bankvereiny 124·—, Landerbanki 250·75 Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 261·—, Elbethale 238·—, Renta papierowa 97·30, srebrna 96.95. austryacka złota 118·30. 4% austr. renta wal. kor. 96·10, węgierska złota 116·10. 4% węgierska renta wal. kor. 93·80 dukat 5·97, 20-frankówka 9·97½, marki 12·33, ruble 1·31¾.

§ **Wiedeń** 21 listop. Spirytus 16.— do 16.10.

§ **W sprawie konwersyi 4½% listów galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego.** Galicyjski Bank kredytowy zwraca uwagę posiadaczy 4 i pół procentowych skonwertowanych listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego, aby po odbiór definitywnych 4-proc. sztuk 56-letnich zgłaszali się bezzwłocznie w godzinach urzędowych do kasy galicyjskiego Banku kredytowego tembardziej, że z d. 20 grudnia rb., ze względu na zamknięcie rachunków konwersyjnych z Towarzystwem kredytowem ziemskiem — wymiana zastanowioną zostanie, — a dopiero po 10 stycznia 1894 r. na nowo podjętą będzie.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 11 do 14 października 1893 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 6·75—7·75, żyto 5·65 do 6.00, jęczmień brow. 5·65—6·50 pastewny 5·——5.85, owies 6·25—6·50, hreczka 7·25—7·75, kukurudza zeszłoroczna 6·——6·40, kukurudz. nowa 5.50—5·75, groch do gotowania 5·50—9·50, pastewny 5·00 do 7·—, proso 0·——0·00, bobik 4.75—5·75, wyka 4.50—6·—, koniczyna 60·— do 70·—, anyż rosyjski 30·00—34·00, anyż płaski 27.00—28·—, kminek 24·— do 26·00, rzepak zimowy 12·00—14·00, letni 13·00 do 13·25, lnianka 7·— do 9.50, nasienie lniane 9·00 do 11.00, nasienie konopne 6·50 do 9·25, tymotka 00—00, chmiel 178—250, nafta zwykła —·— do —·—, salonowa —·— do —·—, wosk ziemny —·—do—·—. Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, z podatkiem konsumcyjnym 51·10—51·35, fasola 6.00—12·50, soczewica 8.00 do 9·50.

Telegramy „Przeglądu"

Wiedeń 23 listopada. Na dzisiejszem posiedzeniu izby posłów złożył ks. Windischgrätz imieniem rządu następujące oświadczenie:

Najjaśniejszy Pan raczył mianować mnie prezydentem ministrów, a ja jakoteż całe ministeryum Jego Cesarskiej Mości mamy zaszczyt przedstawić się Wysokiej Izbie.

Nowy rząd utworzył się wskutek wspólnej politycznej akcyi trzech wielkich stronnictw tej izby; zwraca się przeto w pierwszej linii do owych trzech stronnictw i wyraża nadzieję, że one działalność jego z całem zaufaniem poprą, a między sobą dobre parlamentarne stosunki utrzymają.

Rząd oświadcza, że jako pierwsze i najważniejsze polityczne swe zadanie uważa w porozumieniu z temi trzema stronnictwami przeprowadzenie obszernej reformy wyborczej, któr. zatrzymując dotychczasową reprezentacyę grup interesów i dokładnie uwzględniając stosunki pojedyńczych królestw i krajów, znacznie rozszerzyłaby prawo wyborcze i przyznałaby je tym warstwom ludności, które dotychczas prawa tego nie posiadały, przedewszystkiem zaś robotnikom, a równocześnie nie przesunęła dotychczasowego punktu ciężkości, politycznych praw stanu mieszczańskiego i stanu włościańskiego.

Reforma ta pociągnęłaby prawdopodobnie za sobą powiększenie liczby posłów i rewizyę okręgów wyborczych.

Zanim reforma ta wypracowaną zostanie, rząd nie dotknie żadnych innych wielkich spraw politycznych, lecz ma zamiar trzymając ciągle na oku mocarstwową potęgę i siłę zbrojną monarchii, zwrócić się z całą energią do ekonomicznych i finansowych zadań.

Nowy rząd przyjmuje omówioną z Węgrami akcyę w sprawie przywrócenia waluty metalowej i będzie usiłował dalej tę sprawę poważnie i ostrożnie prowadzić.

Również kładzie rząd wielką wagę na to, aby w drodze parlamentarnego porozumienia do skutku doprowadzić reformę bezpośrednich podatków, a przyznając wielkie znaczenie socyalnej polityce w teraźniejszem administrowaniu państwem i wielką potrzebę dbania o los klas pracujących, nie będzie nowy rząd ani na chwilę spuszczał z oka ważnych spraw socyalnych i zastrzega, że swego czasu postawi odpowiednie wnioski.

Reformy sądowe, które tak z bliska dotykają cały ogół obywateli, szukających sprawiedliwości, będą przedmiotem pracy rządu, albowiem wychodzi on z założenia, że korzystne reformy podnoszą materyalny i moralny stan ludności, a tworząc dobrobyt leżą w interesie wszystkich obywateli, przeto wszystkich stronnictw tej izby. Rząd będzie więc się czuł szczęśliwym, jeżeli na tem polu różnice między stronnictwami znikną i wszyscy wspólnie przystąpią do tej patryotycznej pracy.

Otwartość i szczerość w życiu publicznem, jawne szanowanie znaczenia instytucyi parlamentarnych, gorące wspieranie wszystkich uprawnionych ekonomicznych interesów, silna i na wysokości swego zadania stojąca administracya, energiczne tępienie wszystkich elementów, które spokojowi państwa i ogólnemu dobrobytowi szkodzą, oto są punkta wytyczne, którymi się będzie rząd kierował przy prowadzeniu spraw publicznych, a sądzi, że w tem ciężkiem zadaniu liczyć może na zaufanie i pomoc tych wszystkich obywateli dobrze myślących, którzy dobro swojego narodu mają na oku i którym powaga Austryi drogą jest.

Wiedeń 23 listopada. Programowe oświadczenie ks. Windischgrätza przyjęła izba żywymi oklaskami, które przy następujących ustępach: zapowiedź reformy wyborczej, zapowiedź reformy podatków, praca nad ekonomicznemi zadaniami, uznanie dla parlamentarnych instytucyi i stanowcze tępienie żywiołów burzących spokój; a więc przy tych punktach przybierały charakter entuzyastycznej manifestacyi dla rządu, a po skończonej deklaracyi oklaski trwały ogromnie długo, wzmagając się i powtarzając co chwila.

Wiedeń 23 listopada. Koło polskie odbyło wczoraj posiedzenie, na które przybyli ministrowie Jaworski i Madeyski, wszyscy posłowie obecni w Wiedniu tudzież członkowie Izby panów ks. Czartoryski i dr. Zoll. Wiceprezydent Benoe, zagaiwszy posiedzenie, udzielił głosu ministrowi Jaworskiemu, który skreślił przebieg ostatniego przesilenia. Na wstępie zaznaczył p. Jaworski, że Koło polskie od r. 1891 prowadziło politykę wolnej ręki, głównie w tym celu, aby była możność tworzenia zawsze większości parlamentarnej, gdy idzie o sprawy ważne. Utworzenie większości parlamentarnej uważało Koło za rzecz konieczną, jednakże stało zawsze na tem stanowisku, że ani przez sojusz Koła z klubem Hohenwarta a bez lewicy, ani też przez sojusz Koła z lewicą a bez klubu Hohenwarta większość taka do skutku przyjść nie może. W tym duchu przemawiał p. Jaworski imieniem Koła w r. 1891 i 1892 Także hr. Taaffe usiłował złożyć taką większość, wszelako wybierał ku temu nieodpowiednie środki. Wniesienie rządowego projektu reformy wyborczej wywołało zawiązanie się koalicyi negatywnej.

Koło polskie nie było zasadniczo przeciwne reformie wyborczej, owszem przekonane było o jej potrzebie, wszelako na wniosek rządowy żadną miarą zgodzić się nie mogło. Jako przewodniczący Koła, prowadził mówca w porozumieniu z komisyą parlamentarną rokowania z p. Plenerem, hr. Hohenwartem i ks Windischgraetzem. Myślą przewodnią mówcy przy tworzeniu nowego gabinetu było zapewnić Kołu polskiemu stanowisko zupełnie równorzędne obu innym stronnictwom. Mówca gotów jest każdemu z posłów na żądanie dać szczegółowe wyjaśnienia o przebiegu pertraktacyi. Ażeby stworzona koalicya była żywotna i mogła się utrzymać, potrzeba, ażeby stronnictwa, wchodzące w jej skład, skupiły się nietylko na gruncie negatywnym, ale także aby zgodziły się na wspólny program. Program ten przedłożony będzie na dzisiejszem posiedzeniu Izby. Mówca prosi, aby Koło polskie, usłyszawszy deklaracyę rządu, zebrało się i wyraziło swą opinię co do swego stosunku zarówno do rządu jak i do innych stronnictw. W końcu oświadczył p. Jaworski, iż składa godność prezesa Koła i że spokojnie patrzy na działalność swoją na tem stanowisku. Imieniem Koła polskiego przeprowadził reorganizacyę sądownictwa w Galicyi, ugodę indemnizacyjną, uzupełnienie wszechnicy lwowskiej, opusty podatkowe i koleje podolskie Wszystko atoli co zrobił, zawdzięcza solidarnemu postępowaniu Koła. Dziś składa mówca godność prezesowską nie wśród gorszych warunków, aniżeli były te, wśród których ją objął.

Jako minister i jako poseł pójdzie mówca zawsze solidarnie z Kołem i starać się będzie podnieść jego znaczenie. Wreszcie wyraził p. Jaworski nieograniczoną wdzięczność dla Monarchy, dziękował p. Zaleskiemu za poparcie, jakiego odeń doznawał i zakończył zapewnieniem, że konserwatywne przekonania jak dotąd tak i dziś go ożywiają. Mówca jest konserwatystą tego rodzaju, iż trzyma się starego porządku rzeczy nie dla tego, że ten porządek jest starym, ale dla tego, że jest dobrym. Przed nowym porządkiem jednak nie cofa się mówca, o ile tylko on jest dobrym.

P. Zaleski zabrał głos i oświadczył, że pragnie odtąd pracować jako szeregowiec i zużytkować swe doświadczenia dla dobra kraju. Wiceprezes p. Benoe dziękował p. Jaworskiemu za dotychczasową jego działalność.

Minister Madeyski oświadczył, iż składa godność wiceprezydenta Izby, tudzież członka komisyi parlamentarnej. Nadto zapewnił p. Madeyski, że działać będzie zawsze w porozumieniu z Kołem polskiem.

P. Podleski interpelował p. Jaworskiego o sprawy, które poprzedziły utworzenie koalicyi, wszelako Koło uchwaliło odroczyć dyskusyę nad tem do dzisiejszego posiedzenia.

Klub Hohenwarta odbył również posiedzenie. Minister hr. Falkenhayn dziękował za zaufanie, którego dotychczas od klubu doznawał, i prosił, aby niem i nadal go darzano, ale nietylko jego, lecz cały rząd. Następnie skreślił hr. Hohenwart w krótkości przebieg ostatniego przesilenia i utworzenia ministeryum koalicyjnego. Klub postanowił zwołać ponowne posiedzenie na dziś wieczorem i przeprowadzić na niem dyskusyę nad oświadczeniem, które rząd złoży dzisiaj w Izbie.

Na posiedzenie niemieckiej lewicy przybyli ministrowie Plener i Wurmbrand.

P. Plener w długiej mowie rzucił pogląd na sytuacyę polityczną. Przedewszystkiem zaznaczył, że gdy stronnictwo jego przed kilku tygodniami odbywało ostatnie swe posiedzenie, to już wtedy wszyscy przekonani byli o konieczności wspólnej akcyi trzech stronnictw nie tylko przeciw reformie wyborczej, ale w ogóle celem stworzenia nowej sytuacyi politycznej. Zarówno mówca jak i hr. Wurmbrand przyłożyli rękę do zmiany, która nastała, gdyż przekonani byli, że leży ona w interesie stronnictwa. W skład gabinetu weszli dla tego, że nakazywała im to polityczna odpowiedzialność. Skoro bowiem stronnictwa stwarzają nową sytuacyę, to oczywiście muszą wziąć w swe ręce dalsze jej ułożenie. W Austryi jest to rzecz trudniejsza, aniżeli w innych krajach, gdyż nie istnieje większość złożona z jednolitego stronnictwa. W tem, że większość składa się z różnorodnych stronnictw, leży zarodek trudności, wszelako nie należy ich przeceniać. Przy dobrej woli należy omijać te trudności, co jest o wiele lepsze, aniżeli powrót do dawnych stosunków, albo też wywoływanie nowej kombinacyi, w którejby niemiecka lewica była pominięta. Rozumie się samo przez się, że w obec tej kombinacyi, która przyszła do skutku, ani prawica ani lewica nie mogą występować z zasadniczemi roszczeniami, ale przez wzajemne porozumienie się można przeprowadzić cały szereg ważnych reform, które inaczej nigdyby nie przyszły do skutku, a przez poparcie wszystkich sprzymierzonych stronnictw można wzmocnić i ożywić całą administracyą państwową. Mówca prosi, aby stronnictwo i nadal darzyło go swem zaufaniem, ale ażeby przytem popierało cały rząd, tem bardziej, że dalszą konsekwencyą koalicyi musi być zbliżenie się trzech wielkich stronnictw, co zresztą wynika z ogólnej konfiguracyi politycznej. Jeżeli lewica chce, ażeby przedsięwzięta obecnie próba udała się, to nie powinna dopuścić, ażeby zaraz na początku wkradła się nieufność pomiędzy sprzymierzone stronnictwa. Należy więc mieć nieco politycznej cierpliwości, dopóki nowa kombinacya się nie wżyje.

Mowę tę przyjęli zebrani hucznymi oklaskami.

Minister handlu hr. Wurmbrand prosił również o poparcie stronnictwa dla całego gabinetu, który podjął się wielkiego zadania zjednoczenia stronnictw umiarkowanych, podtrzymujących państwo, i wzmocnienia austryackiej idei państwowej. Sytuacya obecna wymaga zarówno od stronnictwa jak i od każdego z posłów wielkiego zaparcia się i politycznej wstrzemięźliwości. Zadaniem zarówno mówcy jak i p. Plenera jest nie tylko utrzymywać porozumienie z własnem stronnictwem, ale także z innemi partyami, wchodzącemi w skład koalicyi, i utrzymać wzajemną zgodę. W końcu oświadczył hr. Wurmbrand, że jako minister handlu pójdzie w ślady swego poprzednika, starać się będzie o podniesienie komunikacyi i rozwój przemysłu i handlu.

Przewodniczący zebrania, p. Heilsberg podziękował obu ministrom i oświadczył, że cała lewica godzi się na koalicyę, gdyż upatruje w niej jedyne wyjście i możność polepszenia i skonsolidowania stosunków publicznych.

Kilonia 23 listopada. Cesarz niemiecki przybył tu wczoraj.

Wiedeń 23 listopada. *Potit. Corr.* donosi, że hr. Kalnoky pojedzie z Florencyi do Wenecyi, a stamtąd powróci wprost do Wiednia.

Madryt 23 listopada. Przy wyborach do tutejszej rady municypalnej wyszło z urny 18 monarchistów, a 10 republikanów. Przy wyborach w miastach prowincyonalnych uzyskali monarchiści mniej więcej taką samą większość.

Rzym 23 listopada. Urzędnicy telegrafu wrócili już wszędzie do służby. Tylko w Medyolanie i Wenecyi bastówka jeszcze nie skończona, jednakże i tam wrócić mają wszyscy urzędnicy dziś do służby.

Wiedeń 23 listopada. Minister skarbu p. Plener polecił zarządom salin w Hall i Hallein podwyższyć o 10 procent płace wszystkim robotnikom zajętym w tych salinach. Takie samo podwyższenie płacy otrzymać mają robotnicy w salinach galicyjskich i bukowińskich. Podwyższenie płac liczyć się będzie już od listopada Do zarządzenia tego skłania ministra wzgląd na to, że wszystkie artykuły żywności znacznie podrożały, tudzież wzorowe zachowanie się służby salinarnej.

Gracz 23 listopada. Według autentycznych doniesień z Wiednia nic nie stoi na przeszkodzie przewiezieniu zwłok hr. Hartenau'a do Sofii. Obiega tu pogłoska, iż wkrótce przybędzie tu deputacya bułgarska, aby tego dokonać.

Przyjechali do Lwowa

dnia 23 listopada 1893.

HOTEL ŻORZA. M. Małachowska z Podola rosyjskiego. A. Gorayski z Moderówki. Z. Kruchowska z Mogilnicy. E. Pitaszewska z Sasowa. J. Hulimka z Chłopiatyna. M. Brykczyński z Pacykowa. B Cieński z Berezowicy. Stan. Zwolski z Bryniec. Ksiądz Fr. Lewandowski ze Szczurowej. K. Siwicki z Cieniawy. J. Rosenstock z Rusiatycz. Jan hrabia Baworowski z Kołtowa W. Wolski z Schodnicy.

HOTEL FRANCUSKI. J. Gnoiński z Cieszanowa. J. Jaruntowski z Załanowa. K. Winnicki z Turad. J. Kellermann z Kańczugi. W. Hubicki z Podgórza. M. Ader z Jazowska.

HOTEL VICTORIA. A. Leszczyński z Krakowa. F. Schivics z Mostów. Dr. Heune ze Złoczowa. H. Müller z Wiednia. M. Rybińska z Jaworowa.

HOTEL METROPOL. P. Płachowski z Nowego Sącza. W. John z Tłumacza. M. Gumińska z Tłumacza. C Czaplińska z Czortkowa. E. Josperzer z Kopenhagi. B. Feiry z Petersburga. D. Hirsz z Czerniowiec.

HOTEL EUROPEJSKI. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. M Urbański z Haczowa. S. Lewandowski z Bełzca. J. Beyzym z Chyrowa. A. G. Fischel z Wiednia. S. Goldfinger ze Stanisławowa. S. Lubowiecka z Rosyi. J. Zielonka ze Szczawnicy. F. Dostalik z Krakowa. L. Schweizer z Medyolanu. L Grosicki z Zamarstynowa. S. Jasiński z Zahajpola. F. Polaczek z Wiednia. H. Rożycka z Tarnopola T. Jaworski ze Skwarzawy. Ks. C. Królikowski z Dzikowa.

HOTEL IMPERIAL. Hr. J. K. Kalinowski z Brodów. Hr. K. Drohojowski z Krukienic. H. Szeliski z Komborni. S. Trojan z Komarna. S. Urbański z Pleśnej M. Serwatowski z Buniowa. W. C. Engel z Nowego Jorku. W. br. Miltitz z Maksymówki. Dr. J. Dunkelblau z Wiednia. A. hr. Pocejko z Królestwa Polskiego.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 23 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 218·50. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. a. 259·50 do 262·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 375·— do 385·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·— do 100·70. 5% z 10% prem. 109·70 do 110·40, 4½% los. w 50 lat. 99·80 do 100·50. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·30 do 99·—. 4% los. w 41½ lat. 98.— do 98·70, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. 99·30 do 100.50.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·35 do 97·—. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·25 do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·25 do —·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 99·30 do 100·50 4% z roku 1891 95·80 do 96·50 4% z roku 1893 96·— do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·90 do 6·—· Napoleondor 9·98 do 10·08. Półimperyał 10·20 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.31·— do 1.33·—. 100 marek niemieckich 61·25 do 61·85.

24)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ

przez

JULJUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

Filip przyjął ten projekt z zachwytem. Ubóstwiał on swego ojca. W owej epoce był on młodzieńcem silnym, zdolnym, biegłym we wszystkich ćwiczeniach, wymagających bystrego oka i zręczności. Jako strzelec niezrównany dał dowody nadzwyczajnej odwagi, podczas pobytu swego na dalekim Zachodzie. Czas jakiś nęciło go życie awanturnicze, lecz powstrzymał go od tego jego charakter łagodny. Przytłumił w sobie te zachcianki i pozostał przy ojcu.

Jan Bartoli, jakkolwiek liczył wówczas czterdzieści sześć lat życia, był jednak czerstwym i młodym. Włosy i wąsy miał czarne, postawę pełną elegancyi. Oczy tylko uległy zmianie. Straciły blask dawny, przygasły, pod wpływem ciągłego smutku i wspomnień przykryły się żałobą i miały wyraz wzroku człowieka ślepego.

Filip stał się dla niego jedyną pociechą życia. Gdy powrócił po ukończeniu nauk, Bartoli oświadczył mu:

— Na ten raz już się nie rozstaniemy. Osiądziemy we Francyi i będziemy pracowali razem. Razem będziemy się starali uczynić naokoło siebie jak najwięcej dobrego. Bo widzisz, moje dziecko, oddawna jesteś dla mnie jedyną rozkoszą, jedynem szczęściem. Nie byłem szczęśliwym w życiu. Bywają dobre i złe dole. Mnie wypadła zła. Pilno mi jak najprędzej doświadczyć uśmiechu losu.

W pół roku później przybyli do Hawru i następnego dnia udali się do Paryża.

Filip oddawna spostrzegł tajemniczy smutek swego ojca, a ponieważ nie mógł domyślić się jego powodu, tembardziej, że interesa materyalne były w najwyższym stopniu powodzenia, doszedł więc do przekonania, że źródło tego usposobienia duszy spoczywało w tajemniczej przeszłości. Nie znał zaś jej zupełnie, gdy pomimo dyskretnych zapytań, ojciec zachowywał milczenie. Nie zmniejszyło to przecież jego miłości synowskiej. Zawiązał się pomiędzy nimi stosunek zaufania przyjacielskiego. Było to jedno serce, zgodnie uderzające w dwóch piersiach szlachetnych.

Bartoli był zbyt młodym, silnym i czynnym, by używać majątku w bezczynności. Przybył do Paryża dla tego, by rozejrzeć się w interesach i stworzyć sobie odpowiednie zajęcie. Po roku pobytu we Francyi, nabył na własność kopalnie węgla kamiennego w górach Lozery.

Tak więc wypadek sprowadził go po ośmnastu latach do tej samej okolicy, w której po raz ostatni widział Maryę, w której chciał umrzeć, przytłoczony ciężarem cierpień, w której okrutne wypadki złamały życie trojga osób.

Gdy oznajmiono mu propozycyę kupna, w pierwszej chwili zawahał się. Dla czego los prowadził go do tych stron, o których nie mógł myśleć bez głębokiego smutku? Więc może mu gotował nowe tortury moralne? Czy też może wszechpotężny i miłosierny wypadek sprowadzając go do miejsca, w którem Marya zakończyła życie, chciał ułagodzić jego zgryzoty i wspomnienia?

Długo się namyślał. Wreszcie umowę zawarł i kopalnię kupił. By doprowadzić ją do stanu należnego, potrzeba było wiele pracy i sum ogromnych. Ale nie cofnął się przed tem zadaniem, okolica była ubogą, on zaś pragnął, by miejscowa ludność go pokochała. Nie myślał o powiększeniu majątku, chciał tylko uczynić szczęśliwymi wszystkich potrzebujących, a do niego zbliżonych.

Kupno to wymagało licznych podróży w góry seweńskie. Podczas jednej z takich wycieczek Bartoli odwiedził Mende. Paliła go jakaś gorączka odświeżenia w umyśle w przeciągu kilku godzin tego, co przed kilkunastu laty odbyło się również podczas godzin kilku.

I rzeczywiście od chwili, gdy wysiadł z pociągu na stacyi, przeszłość we wszystkich szczegółach odżyła w jego pamięci. Z łatwością, nie pytając nikogo, odszukał drogę do domu, zamieszkałego niegdyś przez Maryę. Wypadkiem był on od niejakiego czasu niezamieszkały, a okoliczność ta ożywiła jeszcze więcej jego wspomnienia, zdawało mu się bowiem, że od owej smutnej nocy nikt nie chciał osiąć w tym domu. Obszedł w około ogród i przybył nad rzekę Lot. Mały lasek istniał w tem samem miejscu. Uczyniwszy kilka kroków dalej, Bartoli znalazł się pod skałą, tuż nad rzeką, gdzie Jerzy d'Heribaud znalazł śmierć tragiczną.

Następnie zwiedził całą swoją ówczesną Kalwaryę. Obszedł niezamieszkały już pałac p. Michellier, okrążył więzienie i sąd.

Przed pałacem b. prokuratora rozminął się z jakimś starcem, krzepkim jeszcze, o twarzy rumianej, otoczonej białemi włosami. Spojrzeli na siebie, lecz starzec przeszedł obojętnie. Bartoli poznał go i zadrżał. Starcem tym był p. Montaiglon.

Bartoli opuścił Mende z sercem zakrwawionem.

Współcześnie z kupnem nieeksploatowanej kopalni węgla, Bartoli nabył na własność położony w sąsiedniej wiosce Prades, pałac Castelbouc.

Wioska Prades licząca około 500 mieszkańców, rachując chaty rozrucone w dalszej okolicy gór, zbudowana była na ogromnej skale i miała jedyną uliczkę, wychodzącą ku rzece Tarn.

Kupiony przez Bartolego pałac Castelbouc, był starem zamczyskiem, znanem jeszcze w wieku 16-ym. Otoczony i zakryty dla oczu przechodniów staremi drzewami, zbudowany był na tarasie, dochodzącym do samego brzegu rzeki. Jakkolwiek były tam budowle nowe, sporo przecież murów pozostało z czasów rycerskich, zwłaszcza cztery groźne wieże z galeryami fortecznemi i mała wieżyczka nad wejściem głównem. Mury prawie w całości pokryte były winem dzikiem i innemi pnącemi się roślinami. Był to zakątek zaciszny, położony zdala od wszelkiego zgiełku świata, melancholiczny, prawie smutny, którego spokój przerywał zaledwie bezustanny szmer toczącego się ku rzece potoku.

Gdy Bartoli nabywał go, miał zamiar zakopać się w nim na całe życie i w towarzystwie dzieci Maryi, oraz swego syna Filipa, przepędzić resztę dni swoich w spokoju, orzeźwiających widokiem ich wesołości, ułagodzić swój smutek i drążące go wspomnienia. Lękał się tylko, czy ta samotność nie zniechęci Filipa, czy młody człowiek, znudzony życiem monotonnem, nie zechce wyrwać się na świat szerszy, ale obawy jego były płonne.

— Jest to kraj prześliczny i szczęśliwy będę, mieszkając w nim wraz z tobą, ojcze. Wiesz, że nie mam usposobienia do życia światowego. Lubię pracę i badania naukowe, a w jakiemże miejscu innem mógłbym wygodniej pracować? Lubię wieś i nie lękam się samotności.

— Zresztą, moje dziecko, samotność nasza nie będzie zbyt surową, gdyż oprócz stosunków z robotnikami kopalni i do naszego domu, mam nadzieję, przybędą nowi mieszkańcy.

Filip oddawna wiedział o projektach ojca i z jego opowiadania znał dzieci Maryi.

— Klara, Dyana i Antonio? — zapytał uradowany.

— Tak, oni.

— Więc niech ojciec sprowadzi ich jak najprędzej.

— Cierpliwości! — odrzekł Bartoli z uśmiechem. Musimy przygotować się na ich przyjęcie, dziś bowiem nie mielibyśmy gdzie ich pomieścić.

Rzeczywiście reparacye były konieczne, kilka bowiem pokojów i wieża zostały przed kilkoma laty zniszczone. Bartoli miał zamiar całe drugie piętro przeznaczyć dla dzieci Maryi, pierwsze wybrał dla siebie i Filipa, na parterze zaś znajdowały się salony i pokój stołowy.

Nareszcie pewnego dnia oświadczył Filipowi:

— Ja nie mogę opuścić kopalni, ale ty mógłbyś już udać się do Korsyki.

— I owszem, lecz gdzie ich znajdę?

— Od kilku lat straciłem ich z oczu. Dawniej, gdy matka moja żyła, donosiła mi o nich. Za jej pośrednictwem posyłałem im pieniądze, lecz zwrócono mi je. Dzieci te są bardzo dumne. Po śmierci matki udawałem się do pozostałych w Sartenie przyjaciół i przez nich miewałem jeszcze czas jakiś wiadomości. Lecz później straciłem ślad. Obie siostry i brat gdzieś zniknęli, opuścili Zicavo i prawdopodobnie udali się na zarobek w góry. Christiani zmarł oddawna. Zostawił on mały majątek, który musiał być podzielony pomiędzy dzieci jego córki. Otóż, powinieneś dowiedzieć się o tem wszystkiem i skoro mi doniesiesz, przyjadę sam natychmiast.

Tego samego dnia Filip przygotował się do podróży i nazajutrz rano udał się koleją żelazną do Marsylii, skąd bez zwłoki parowcem odjechał do Ajaccio.

II.

Spotkanie.

Po przybyciu do Zicavo, Filip, nie znając nikogo, udał się po informacye do miejscowej oberży.

— Czy zna pani rodzinę Christianich? — zapytał oberżystki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Br... ...rskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.